

# MIESIAC



# LUSTROWANY



**U<sup>ve</sup> Pommery FILS & C<sup>o</sup> REIMS.**



ГЕНЕРАЛНЫ ПРЕДСТАВИТЕЛЬ

Л. С. ЯНКІЕВИЧ

ВАРШАВА.

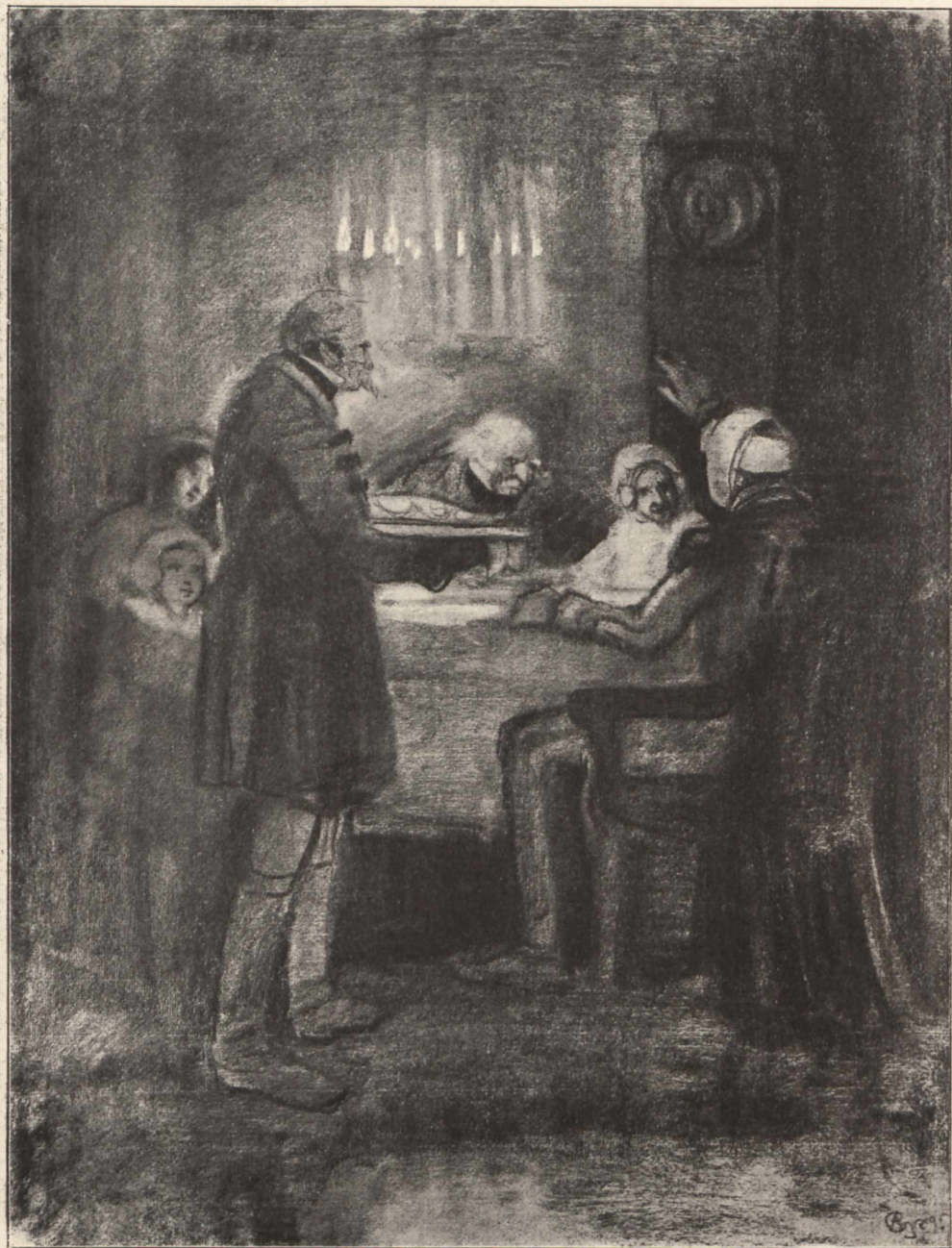




Wszedłaś, gwiazdko! Betleemska gwiazdo!  
I znów serce zabiło pragnieniem...  
Myśl w rodzinne uleciała gniazdo,  
Drogie kąty objęła wspomnieniem  
I zaczęła na progu się żalić,  
By — jak dziecku — choinkę zapalić.

I poznali ją ludzie — swojacy,  
I zrobili jej miejsce za stołem,  
Biały chlebuś podali na tacy  
Z wyrzeźbionym w pośrodku Aniołem.  
I zaczęli jej nucić kolendę...  
I nie czuła, że dziś jest przybędą!





Praprawnuczko starych barci, sosen,  
Jakie echa żegnały cię w boru?!  
Że aż dotąd grasz pobudką wiosen,  
Szumisz nutą ojcowskiego dworu,  
Że cię dotąd noszą na żrenicy  
W złotej łanie, wśród białej świetlicy!

Widzę ciebie w pośrodku komnaty  
Rozblyszczoną, naszych drzewin chłopko  
Stojną w barwne opłatkowe „światy“,  
Z kołysaną u gałązek szopką  
I z Dzieciątkiem, złożonem na sianko,  
Spiącem cicho pod białą sukmanką!

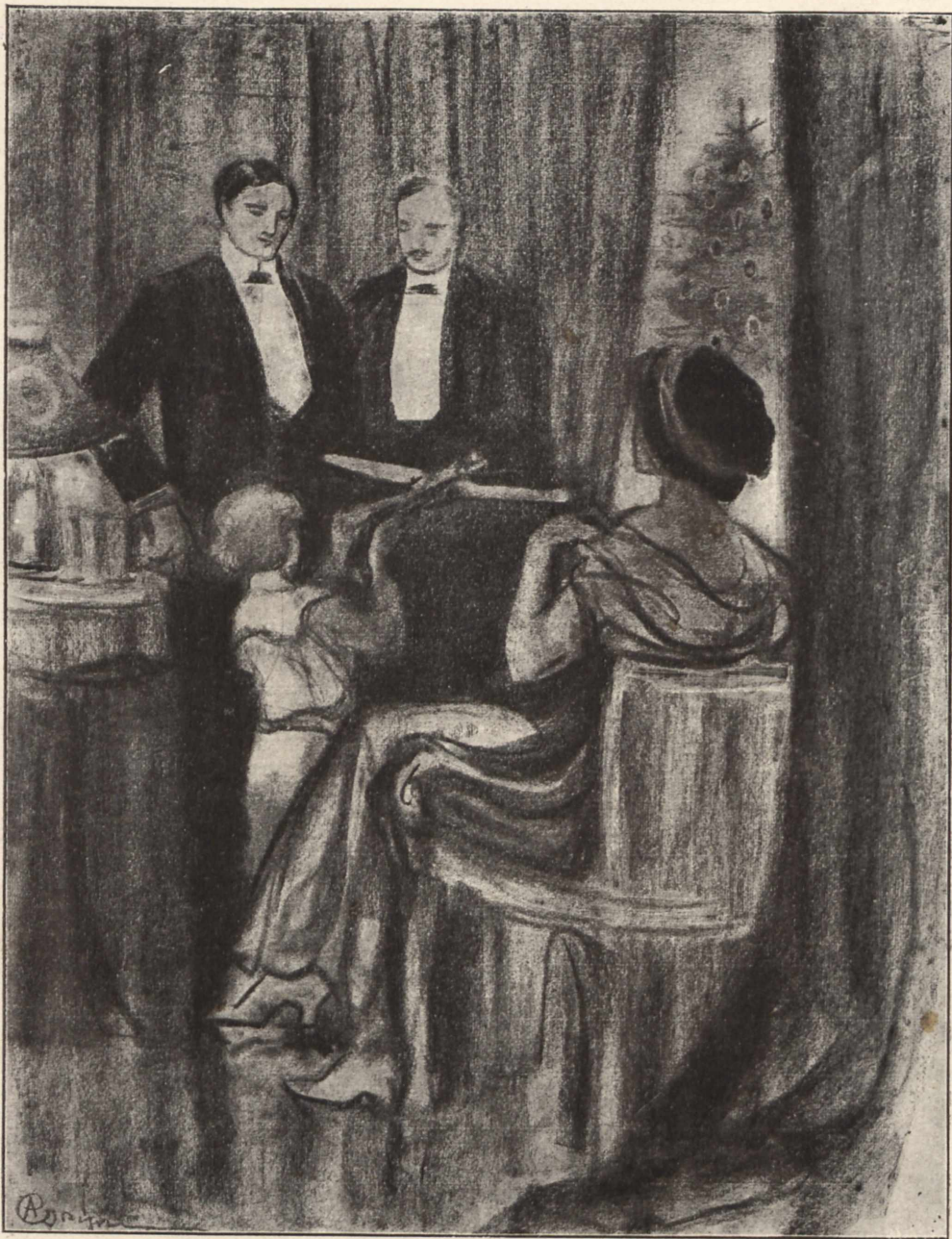




Widzę ciebie, jak w złotej oprzędzi  
Anioł — Zwiastun trzepece w skrzydelka  
Na żłobkowej przysiada krawędzi  
Betleemskie rozkłada jasełka  
I pastuszków oglądam i króle  
Hojne dary niosących w szkatule.

Widzę ciebie i wszystkich, co kołem  
Pod twe zielne przypadli igliwie —  
Jak się głowy i czoła za czołem  
Chylą, niby kłosa żrały na niwie —  
Jak lzy świecą pod wosków twych łuną,  
A pierś jedną dzwoni struną!





Widzę ciebie i siebie chłopięciem,  
I białego dziadula z kosturem,  
I babunię przed Bożem Dziecięciem,  
I dwór cały śpiewający chórem,  
I konika siwego z siodełkiem,  
Co go Anioł przyniósł pod skrzydelkiem.

Moje dobre, o złote ty drzewko!  
Ja to wszystko mam do dziś pod duszą —  
I czapczkę z różową podszewką,  
I tę chatkę z jaworem i gruszą,  
I fuzyjkę, i chłopców tych z cyny,  
Do ostatniej zachowam godziny. EI. 2





Byłem nazajutrz dumny z tego, że miłość moja zaczyna być hardzo tragiczna, i starałem się być nawet więcej smutny, niż byłem w istocie. Tu się jednak zaczęła prawdziwa tragedia. Tego dnia podszedł do mnie Zygmunt i patrząc mi ironicznie w oczy rzekł:

— Ktoś ci kazał powiedzieć, abyś nie chodził co dzień koło poczty, bo to może kogoś skompromitować!

W tej chwili coś mnie uderzyło mocno w głowę, bo ujrzałem w oczach całe gwiazdziste niebo; zanim jednak zdołałem zabić tego podłego człowieka, on uciekł już dawno i zaczął w oddali tarzać się po ziemi z radości. Podły, podły człowiek...

Dnia tego nic nie jadłem, za to ze sto razy najmniej przeczytałem w „Izabelli, królowej hiszpańskiej“, ten prawdziwy; och, jak bardzo prawdziwy ustęp pelen grozy:

„Jestem przez ciebie nienawidzony, królowo!“ — „Odejdź, marszałku Serrano, dziś chcę być bez żony...“

Co się po tych słowach działo w jego duszy, to samo działo się teraz w mojej.

Zacząłem walkę, lecz bez wiary w zwycięstwo, w takiej sytuacji bowiem można tylko uwierzyć w śmierć; myślałem długo w noc, co mi czynić należy i ciągle dochodziłem do jednego wniosku: należy się zabić. Tak; lecz przedtem zabić jego, Zygmunta i to nie zwyczajnym sposobem, lecz jakimś bardzo wymyślnym, gdyż spełnił on zbrodnię największą z największych, zdradził bowiem przyjaciela. O niej starałem się nie myśleć, chociażby mi łatwiej było przyszło wyrwać stuletni dąb z korzeniem, niż jej imię z mego serca, które wrosło przez dni kilka; żadna bowiem ljana nie rośnie tak prędko, jak drzewo miłości. Bałem się przytem wszystkim bardzo, że zerwiemy znajomość, a ona mi nie odda „Ducha

Puszczy“, przez co mógłbym mieć arabską awanturę, gdyż to nie była moja książka.

Zacisnąłem zęby i myślałem aż do świtu. Rano zaś, w niedzielne rano, twarz już miałem spokojną jak kamień, choć tragiczną; wlałem na strych, zamknąłem się tam starannie i w największej ciszy począłem ostrzyć na kamieniu scyzoryk; od czasu do czasu próbowałem ostrza na wiszących na strychu koszulach, które przecinałem z góry na dół jednym, wspaniałem cięciem.

Już był ostry. Odwinąłem tedy rękaw, obnażyłem ramię i załapiąjąc stał w ciele powoli, aby dłużej i mocniej bolało, począłem ryc scyzorykiem na ramieniu wielką, krwarą literę K. Jej literę...

Chociaż mi pociemniało w oczach, nie syknąłem nawet, gdyż kto się waży już na takie rzeczy, jak zadawanie samemu sobie niezmiernej męki, ten powinien okazać odwagę bohatera; kiedy jednak ujrzałem krew, biegać począłem po strychu i suszącą się tam, nieco już pokrajaną bielizną, począłem ocierać krew na ramieniu; nie było tej krwi wprawdzie wiele; co jednak było bielizny, to była krwawa, jakby trzydziestoletnia wojna nie gdzieindziej się odbyła, tylko na naszym strychu.

Błądy i drżący ze wzruszenia, lecz dumny i tragicznie spokojny, szedłem tam, gdzie była moja dusza i skąd pochodziła moja męka, — aż do poczty. Panna Kazia siedziała na podwórzu pod kasztanem i łapała na kamiennym stoliku muchy do swoich naukowych zbiorów; ujrawszy mnie, zmarszczyła brwi i nie skinęła nawet głową.

Skłoniłem się z uszanowaniem, tak, że aż pył podniósł się ze zwiru, po którym gwałtownie szurgłem prawą nogą w ukłonie. Podała mi milcząco rękę i wydeła usta. Ja milczałem czas jakiś, wreszcie po zbyt długiej



chwili, gwałtownie się zaczerwieniwszy, zapytałem:

— Czy pani nie uważa, że jestem śmiertelnie blady?

Podniosła na mnie cudowne swoje oczy przypatrywała mi się przez moment ze zdumieniem, wreszcie wybuchnęła straszliwym, okrutnym, obłąkanym śmiechem.

W pauzach tego śmiechu rzekła:

— Pan ma być blady? Pan jest czerwony jak burak...

Niespodziana fala złości napłynęła mi do serca, gdyż gorzej nie można spoliczkować człowieka; wszystko mogłem ścierpieć, lecz nie podejrzenie, że nie jestem w tej chwili blady. Długo ważyłem słowa; rzekłem wreszcie z godnością:

— Jeżeli jestem czerwony, to chyba od krwi.

To mówiąc, szatańsko ironiczny, nad wyraz złośliwy, niepodobny do siebie, zacząłem powoli odwijać rękaw kurtki, co widząc ona krzyknęła ze wstydu, i szybko zakryła dłoń-

mi oczy; widziałem jednak, że z niezmierną ciekawością patrzy przez palce. Dreszcz po niej przebiegł, nie spodziewała się widocznie ujrzeć tego, co ujrzała — straszliwie krwawe znamię.

A ja, wytrzymawszy w milczeniu odpowiednią chwilę, mówiłem drżąc:

— Niech to Zygmunt potrafi!

Wtedy ona odjęła dłonie od twarzy i spojrzała na mnie z nieskończoną pogardą; uśmiechając się lekko, jak wielka dama, zapytała mnie również drwiąco:

— A czy pan wie, co zrobił pan Zygmunt?

— Bydlę on jest, nie pan, — pomyślałem; ale nie odrzekłem nic, bo mnie paliła ciekawość.

— Pan Zygmunt wyciął sobie nożem K. i M. i pięciopalkową koronę nad literami...

Zachwiałem się i zdawało mi się, że upadnę; ostatkiem sił zawinałem rękaw i zdołałem wyrzec tylko słabnym głosem:

— W takim razie niech pani odda „Ducha Puszczycy“...

Za chwilę miałem już swoją książkę i szedłem złamany, cichy, smutny w stronę domu, który zawsze spokojny, szumiał teraz i huczał jak morze; a ponad tym szumem i hukiem, drżał w powietrzu jak lwi ryk głos naszej kucharki, grubej wiedźmy, bardzo pyskatej, ospowatej na głębie i strasznie mocnej. Powietrze drżało co raz to straszliwszem przekleństwem: „żeby tak sądne-

go dnia doczekała“... — „żeby Matka Boska ręce i nogi połamała temu, co to zrobił“... ktoś zwręwała, a ty odpowiadaj, nieszczęśliwa sługus!...”

Och, była to straszna chwila! Pamiętam jak dziś, że gdzieś daleko były dzwony w kościele, a ktoś blisko grał na arystonie, kiedym ja, położony wzdłuż na chwiejącej się ławce, wył z bólu, uderzany rytmicznie, wedle wszelkich zasad, cienką trzcina; każde uderzenie odbijało się w mem sercu, choć wcale nie biło w serce; kiedy zaś, chwyciwszy się rękoma w obolałe miejsce, ucie-





kłem na podwórzu jak postrzelony jeleń, usłyszałem tę jeszcze zapowiedź:

— To dopiero za jedną porzniętą koszulę! Zostało jeszcze trzy i dwa prześcieradła...

To wszystko dla niej, dla niej, dla tej złej, straszliwej kobiety! To wszystko za przelaną krew, za śmiertelną miłość — ten wstyd i to upokorzenie... Świat nie jest potworny, świat jest dyabelski...

Plakałem cicho; kiedy się już ułożył w łóżku, usłyszała moje łkanie ospowata kucharka, przyniosła mi dwa jabłka i powiała:

— A nie trzeba było naszych koszul krajać; obok były cudze, ale taki durny to nigdy nie pozna... A po co to robił?

Nie odpowiedziałem nic, tylko rękę z krwawą raną wyciągnąłem z pod kołdry i pokazałem jej w milczeniu; zrozumiała od razu wszystko, była ci to bowiem kobieta przemyślna i w sprawach serca bardzo doświadczona. Zaniemówiła ze zdumienia, dopiero, westchnąwszy kilka razy z głębi niezmiernie przepaścistych piersi, pokiwała głową i rzekła:

— Dla jakiejś lafiryndy!

Odeszła jednak wzruszona i kiedy mnie na drugi dzień wołano na straszliwy sąd, zrobiła zacna niewiasta taką piekielną awanturę, że dom drżał w posadach, a młode jaskółki wylatywały z gniazd pod dachem. Stłukła ze trzy garnki i krzyczała, jakby ją kto z ospowatej skóry obdzierał:

— Chrześcijańskie dziecko tu męczał i za co? za dwie dziurawe koszule, którychby porządny człowiek i tak na siebie nie wdział... Pół godziny w takim domu nie będę...

Dobra to była kobieta, niech odpoczywa w spokoju, gdyż dawno już umarła, kiedy ją później mąż tak pobił, że jej wątrobę odbił, czy coś takiego.

Cóż mi jednak z tego? Kto me łzy policz? Obnosiłem swój wstyd i swoją hańbę przez długie dni, bladłem tylko śmiertelnie, ilekroć spotkałem Zygmunta; śmierć mu pisana była już dawno, nie miałem tylko sposobności dokonać swojej zemsty, tembardziej, że nawet spał z katapultą i kamieniami. Podobno kochał się bardzo w tej... w tej... — imienia jej już nie wspomnę; co dnia widywałem go zdaleka koło poczty.

Lecz i ja tam chodziłem niestety; próbo-

wałem już nawet w tych godzinach, kiedy mi było wolno wyjść z domu — przywiązywałem się sznurkiem do nogi stołu, albo do klamki od drzwi, aby tylko nie wyjść, aby tylko nie ujrzeć jego, ani jej; a jednak wychodziłem zawsze i krążyłem jak błędny; ujrzawszy zaś ją zdaleka, uciekałem, jak szalony, aby się nie cieszyła, widząc moją słabość i swoją straszliwą moc, zwycięstwo swoje, a moje pohańbienie. Jednego takiego dnia spotkałem się oko w oko — z nim, z Zygmuntem.

W pierwszej chwili było nam to obu nie przyjemnem i chwialiśmy się przez jeden moment na piętach, chcąc uciec jak najprędzej w dwie przeciwne strony; lecz trwało to tylko moment, — spojrzeliśmy sobie w oczy i wyczytaliśmy w nich wzajemną, nieskończoną wzdargę i obietnicę jakiejś strasznej, długo trwającej, okropnej śmierci. Przyjaciele! tak, kiedyś przyjaciele! Straszne są wyroki Boże!...

Widocznie baliśmy się serdecznie obaj, gdyż zaczęliśmy mówić głosem bardzo drżącym. On pierwszy zaczął:

— Czy chcesz być listonoszem, że tak ciągle chodzisz koło poczty?

Odrzekłem ja:

— Chcesz się powiesić na latarni, że tak ciągle pod nią wystajesz?

Cofnąłem się przezornie po tych słowach on zaś także porwał się do ucieczki, myśląc, że chcę się rzucić na niego w oblędzie cierpienia.

Rzecz on:

— Można być bałwanem, ale tylko do pewnego stopnia.

Na to ja:

— Widzę, że mówisz z doświadczenia...

Sponsował Zygmunt, obrócił się na pięcie i odszedł powoli; to mi się nie podobało, byłbym bowiem wybuchł, w tym zaś jego spokoju kryło się coś straszego; dlatego też oczekiwałem niespokojnie końca tej sprawy.

Nie czekałem długo, — wyzwał mnie nazajutrz.

Och, cośmy wtedy przeżyli.

Przyszło do mnie dwóch sekundantów z trzeciej klasy i wszyscy razem ukryliśmy się w starej szopie w podwórzu. Tam zaczęliśmy mówić bardzo cicho i tajemniczo:



jeden z nich zwrócił się do mnie bardzo uroczyście i rzekł:

— Daj słowo, że nikomu nie powiesz!

— Daję słowo!

Pomyśleli chwilę, potem mi drugi powiedział:

— To mało słowo: daj słowo honoru!

— Daję słowo honoru!

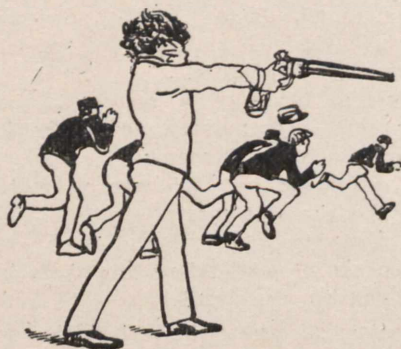
Odeszli na bok, naradzali się bardzo długo, potem bardzo uprzejmie, lecz bardzo również stanowczo mówią:

— Słowo honoru jest mało, daj najświętsze słowo honoru!

— Daję najświętsze słowo honoru!

— Powiedz: jak Boga kochasz...

— Jak Boga Kocham!



Uspokoiwszy się w ten sposób, wyjaśnili mi sprawę: otóż Zygmunt, uznawszy, że walka między nim, a mną jest na śmierć i życie, wyzywa mnie na pojedynek.

— Trzeciego stopnia! — wtrącił jeden z nich.

Nie wiedziałem, co to jest pojedynek „trzeciego stopnia“ i czy wogóle jest taki; nie mogłem się jednak z tem zdradzić, czułem tylko, że w tym „trzecim stopniu“ jest coś straszego.

— Dobrze! — odrzekłem — nie uznaję wprawdzie pojedynków trzeciego stopnia, ale mnie jest wszystko jedno!

Uważałem, że spojrzeli na mnie z szacunkiem i trącili się znacząco łokciami; ja jednak udawałem, że tego nie dostrzegam,

i dla tem większego efektu zacząłem nawet pogwizdywać. Niech wiedzą, z kim mają do czynienia...

Zrobiło mi się nieco niedobrze, kiedy odeszli i kiedy ja z kolei musiałem pójść szukać sekundantów; znalazłem ich sobie siedmiu i wszyscy dali mi słowo honoru, że mi nic nie pozwolą zrobić i nie pozwolą mnie obić przed pojedykiem, który naznaczyliśmy na najbliższe święto.

Całe niższe gimnazjum patrzyło na mnie i na Zygmunta z niekłamany podziwem; to nic, ale zauważyłem, że cały pensjonat oglądał mnie wczoraj bardzo ciekawie na ulicy i usłyszałem za sobą szepc:

— Uważasz, jaki jest błady?

Tak! obca osoba to spostrzegła, a ona nie umiała tego spostrzedz. To tak zawsze...

\* \* \*

Dzień był ponury, posepny, jak zwykłe w chwilach strasznych; szedłem w otoczeniu moich sekundantów, do których przyłączyła się prawie połowa trzeciej klasy, gdyż reszta była po stronie Zygmunta i miała przyjść z nim; sześliśmy za rzekę i za most kolejowy, gdzie w niewielkiej olszynie miał się rozegrać ostatni akt krwawego dramatu. Zygmunt ze swoim „sztabem“ (!) nadszedł za chwilę i skłoniliśmy się sobie z daleka. Wszyscy patrzyli na nas z niesłychanym uwielbieniem, w którym jednak najwięcej było zazdrości; szumiało mi



w głowie, słyszałem przecież, jak mi ktoś mówił za uchem:

— Ty... nic się nie bój; on się więcej boi...

Wcale się nie bałem, tylko mi tak nieznośnie szumiało w głowie. Kilku sekundantów z mojej strony i kilku z jego, zaczęło obliczać kroki, gdyż mieliśmy się strzelać na odległość czterdziestu kroków, ale tylko pod warunkiem utraty życia z jednej, albo drugiej strony, albo też obydwóch stron. Tak się długo miało strzelać, aż ktoś zginie.

Przy obliczaniu kroków, krzyknął nagle mój sekundant:

— Stój, on szachruje!...

Pokazało się, że sekundant Zygmunta, największy dryblas z całej trzeciej klasy, robi strasznie wielkie kroki, aby jak najbardziej oddalić śmierć od Zygmunta. Przy tej sposobności pobili się sekundanci bardzo dotkliwie, jak zwyczajna hołota, bez uwagi na powagę chwili i śmierci; ponieważ zaś już żadnemu wierzyć nie było można, odmierzyliśmy dystans kijem i kwestya ta została załatwiona.

Trzeba było tylko nabić broń, której dostarczył Wicek z trzeciej klasy, gdyż jego ojciec miał zakład zastawniczy i niedawno właśnie zastawili u niego jeden rewolwer i jeden pistolet, oba bardzo stare i bardzo zardzewiałe, ale do pojedynku bardzo dobre. Ściągnął je po cichu i przyniósł; teraz zaś kierował nabijaniem, gdyż się najlepiej na tem rozumiał. W pistolet nasypał bardzo dużo prochu, przybił to prawie całą gazetą, włożył w lufę kilka kawałków gwoździ, mały kluczyk, kulę, zaś na to wszystko nasypał pół garści tłuczonego między dwoma kamieniami szkła; patrzyliśmy na to wszystko bardzo ciekawie, dziwiąc się jego sprawności; on zaś, widząc, że wszystkie oczy na nim spoczywają, mrugnął na mnie znacząco i powiedział:

— Nie zabijesz go kulą, to go zabijesz gwoździem, a nie dostaniesz go gwoździem; to go kluczyk może trafić w oko. To jest na wszelki przypadek...

Potem wśród uroczystej ciszy zaczął nabijać rewolwer, co już było trudniejsze, gdyż jakaś sprężyna była zepsuta i nie chciało się otwierać; trzeba było dopiero bardzo mocno bić kamieniem, aby się zaczęło kręcić to, w co się wkłada patrony, które były za małe i wylatywały, tak, że dopiero każdy

z osobna trzeba było owijać papierem, aby nie wylatywały z otworów.

Szło teraz o to, kto dostanie rewolwer, a kto pistolet; kłótnia na ten temat trwała bardzo długo i bardzo już sobie zaczęto skakać do oczu, kiedy ktoś zaproponował, aby los rozstrzygnął. Ja dostałem rewolwer, Ująłem go ostrożnie ręką i poczułem, że jest strasznie, lodowato zimny.

— Biedny Zygmun! — pomyślałem i tak mi się go żał zrobiło, że chciałem rzucić rewolwer i wszystko i uciec z tego miejsca. Znaczyłoby to hańbę na całe życie, tembardziej, że czułem tyle zwróconych na siebie oczu. Zygmun stał w oddali i nagle dojrzałem, że mierzy we mnie.

— Stój! — krzyknęto chórem.

— Co znaczy „stój“, próbować wolno!

— Nie wolno!

— Daję słowo honoru, że nie wolno... Ja się także trochę znam na pojedynkach.

Postawili nas na przeciwko, wszyscy zaś cofnęli się w mig i pochowali za drzewa. Dreszcz, przerażenie i burza były w powietrzu; zdawało mi się, że w nagłym poszumie drzew slyszałem szelest śmierci.

Spóźniony któryś sekundant uciekł szybko, krzycząc:

— Nie strzelać jeszcze! nie strzelać!

Nogi drżały pode mną. Powtarzałem sobie cichutko: to dla ciebie Kazimiero! Nazywałem ją w tej chwili uroczystie, choć mi przez myśl przebiegło, że on, Zygmun, mówi sobie pewnie w tej chwili to samo. Chciałem krzyknąć do niego, że go bezwzględnie nie chcę zabić; chcę go tylko trafić kulą w serce, ale nie śmiertelnie, lecz tylko w serce, aby mu na niem pozostała taka sama rana, jaką ja miałem na mojem, zadaną jej oczyma; tymczasem on pierwszy zawołał:

— Niech on mnie przeprosi, a nie będę strzelał!

Najpierw chwila zdumienia, a potem wszystkie krzaki naokół i wszystkie drzewa, (gdyż sekundantów widać nie było,) zawrzały wielkim głosem:

— Tchórz! Tchórz!

Zygmun poczerwieniał, zamknął oczy, podniósł w górę broń i strzelił.

Upadłem w tej samej chwili i usłyszałem tylko, jak ktoś krzyknął z daleka:

— Trup! uciekajmy!



Podniosłem się natychmiast, gdyż upadłem tylko z emocji, słysząc potworny huk; przedemną była chmura dymu, po obu stronach ujrzałem, jak dwudziestu kilku naszych sekundantów z płaczem i krzykiem uciekało co tchu w piersiach. Po chwili ujrzałem Zygmunta: stał blady jak trup, oparty o drzewo, z pogruchotanym drzewcem w dłoni, z której płynęła krew. Rozpacz mnie ogarnęła na ten widok; nie mogłem sobie przypomnieć, abym strzelił, a przecież on stał z zakrwawioną dłonią.



Erasmus

— Co ci jest?—krzyknąłem podbiegając.

— Boli... — szepnął Zygmunt.

Obwiązałem mu rękę chustką i ślaniającego się odprowadziłem do domu; szedł przez miasto bardzo dzielnie, choć go palec mocno piekł, gdyż się szczęśliwie zranił tylko w palec. Nagle zatoczyliśmy się obaj: panna Kazia, która doskonale wiedziała, że gdzieś tam pod miastem może w tej chwili

kona z jej powodu najmniej dwóch ludzi, szła ulicą uśmiechnięta i wesola, a z nią jej ojciec; sądowy radca i jeden elegant z czwartej klasy.

Nie śmiejąc nawet odetchnąć, przystanęliśmy pod murem;—przeszła i nawet nie spojrzała na nas. Dwa serca zaskowyczały z bólu.

— Widziałeś? — szepnąłem.

Zygmunt patrzył za nią, jak w gorączce.

— Zdradziła nas... — mówił.

Bąłem się, żeby nie pobiegł za nią i nie zabił na miejscu, więc go siłą odprowadziłem do domu; na zajutrz przybiegł do mnie, zziębnięty i z rozpaczą na twarzy.

— Wiesz czemu? — szepnął.

— Czemu?

— Powiedziała, że kocha teraz tego z czwartej klasy, bo on ma rower...

Padliśmy sobie w objęcia i długo, długo płakaliśmy jak dzieci. Tego samego dnia wygnali nas obu sromotnie ze szkoły.

Och, jak to dawno, jak to dawno... Cóż, serce głupie? No, cicho, już cicho, gdyż słońce wstało nad Paryżem, i gotowe ujrzeć, że łyż mam w oczach, takie same jak wtedy, ja i ten stary bałwan, mój przyjaciel, pierwszy skrzypek z Sidney.

— O czym myślałeś? — pytam go niby tak sobie.

On zaś uśmiechnął się dziwnie, wilgotnymi jeszcze oczyma i powiada:

— O tem, że cię kiedyś mogłem zastrzelić, lecz nie mogłem znaleźć u ciebie głowy...

I rzuciliśmy się sobie w objęcia, jak przykazał Bóg i nasza młodość.

Nie wiem gdzie się teraz tuła biedaczysko.

Konrad Makuszyński



# Paryski salon jesienny.

Rezultat pokazu plastycznego w tegorocznym „Salonie Jesiennym“ okazał się dość niemiłą niespodzianką dla wszystkich, którzy przywykli uważać dotychczasowe wystawy tej instytucji za interesujące. Nawet dopuszczenie „kubistów“ do tego przeglądu jesiennego, którym wydzielono gościnnie jedną z sal wystawy, nie zdołało ożywić trwalej nie zbyt zajmującej całości.



F-*na* Marval. Portret.

Odkładając obszerniejsze sprawozdanie o ruchu „kubistycznym“ do następnego artykułu, do którego materiału dostarczy specjalna, niedawno otwarta wystawa „kubistyczna“ p. t. *Section d'or*, w jednej z galerij paryskich, przy ulicy *La Boétie*, wyłączam ją na razie z ram niniejszych uwag. Komitet „Salonu Jesiennego“ uwzględnił stale przeszłość i tradycję. Dlatego też do każdej z tych jesiennych wystaw dołączony jest retrospektywny pokaz, zawsze niemal wielce zajmujący. Tym razem nowy retrospektywny przegląd *portretu z XIX-tego wieku*, który mimo znaczne luki, brak w nim bowiem niezmiernie interesującej, pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, jest prawdziwą ozdobą tej wystawy i jej usprawiedliwieniem. Zacznijmy jednak od rzeczy gorszych, to zn. od sztuki współczesnej.

Cała ta część pokazu w „Salonie Jesiennym“ jest doskonałym wyrazem braku wybitnych indywidualności malarskich w obecnej sztuce, chwiejności przekonań i braku wiary. Nawet u tych, których przed kilku laty jeszcze głoszono jako reformatorów i rzeczników nowych prądów w malarstwie, u tych też jest widocznym zestabienie. Jest ono łatwym do pojęcia rezultatem tego bezsensownego gonienia za nowością, oryginalnością, kosztem wszystkiego, co stanowiło prawdziwą wielkość w sztuce i co decydowało o postępie. Ten, kogo przed trzema laty okrzyczano za genjusza, a który chętnie promował drugich na idiotów, dziś z kolei głoszony jest takim „idiotą“ przez stronników nowej „szkoły“, czy ruchu, a wszystko już jedno, czy nazwie się ten „kubistycznym“, czy też „passeistycznym“ (od *passé*-przeszłość). Tak się rzecz ma obecnie z Henri *Matisse'em*. Jest to jedna ze sław paryskich, które wypłynęły w ciągu ostatnich lat na powierzchnię modernistycznych ru-





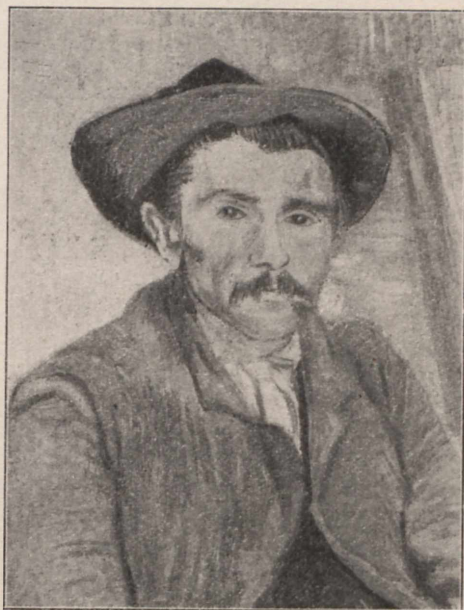
Retrospektywny dział portretu z XIX wieku.  
Cezanne, studjum,

chów we współczesnym malarstwie; należy dodać, że ruchów i hasel powstałych po bankructwie impresjonizmu. Impresjonizm doprowadził wogóle malarstwo współczesne do anarchii, z której kolejno po nim następujące pokolenia malarskie usiłowały się wydostać, stawiając nowe teorie i budując koncepcje w myśl jakiegoś ładu i dyscypliny. Jest to historia ostatnich dwudziestu lat współczesnego malarstwa francuskiego. W usiłowaniach tych najgłębszym w sensie czysto malarskiej koncepcji był wysiłek Cezanne'a; jego bowiem dzieło wywarło największy wpływ na ukształtowanie się wszystkich następnych ruchów i prądów w malarstwie francuskim aż po dzień dzisiejszy.

Z tego to podłoża powstała przed kilku laty w Paryżu grupa malarska „*fauvesów*“<sup>1)</sup> wśród których na naczelne miejsce wybił się H. Matisse. W tym momencie walki o nowość programu, jego oryginalność i t. d., Matisse zjawił się nie jako zgola nieznany „*homo novus*“ z gołymi pięściami dobijający się pierwszeństwa i uznania. Oglądając np. jego piórkowe rysunki z przed kilku

<sup>1)</sup> „*Fauves*“ — „dzikie zwierzęta“. Charakterystyczny patos i przesada tej nazwy odpowiadają wymaganiom reklamy, potrzebującej słów mocno brzmiących,

lat, widzi się, że ma się do czynienia z malarzem zdolnym i wiele umiejącym, który jednak znając się na psychologii współczesnej walki o byt w plastyce, zrozumiał, że w odpowiedniej chwili, na terenie paryskim, „wyjść“ można na powierzchnię za pomocą zuchwałego „bluff“u“. Zaczął więc malować obrazy, w których wyrażanie kształtów za pomocą znaków plastycznych, zwanych rysunkiem, zredukowane zostało od najprymitywniejszego obwodu, linii, nibyto „syntetycznej“, koloryt zaś natężony do możliwie najsilniejszego efektu barwnego, za pomocą czystych kolorów, kładzionych obok siebie bez mieszania. Muszę tu zaznaczyć, że gdyby się takiego eksperymentu chwycił człowiek bez talentu, „bluff“ spelzłby na niczem. Że jednak Matisse jest obdarzony istotnymi i bynajmniej nie przeciętnymi zdolnościami malarskimi więc ryzykując ten „kawał“, zaaranżował go prawdziwie po malarsku w tym znaczeniu, że efekty malarskie jego obrazów budowane były na prawach harmonii barw i realizowane nieraz w interesujących, oryginalnych zestawieniach barwnych. Rzeczy te wystawione jedynie w „Salonach“ rewolucyjnych, jak wystawy u „*Independants*“



Retrospektywny dział portretu z XIX wieku.  
Van-Gogh. Studjum.



zrobiły wrażenie, po-  
a rcie zaś prasy i zrę-  
czna agitacja na gieł-  
dzie malarskiej wśród  
młodych dokonała re-  
szty. Matisse stał się  
sławnym, i momenta  
tej sławy potrafił wy-  
zyskać z takim spry-  
tem, że dziś posiada  
pod Paryżem bardzo  
piękny pałacyk w Issy-  
le-Moulineaux, sprze-  
daje bogatym, żadnym  
nowości mecenasom  
rosyjskim i niemiec-  
kim za bajeczne sumy  
obrazy, nieraz śmie-  
szne, jako suma pracy  
i wysiłku, i pokazuje  
sobie prawdopodobnie  
czasem język w lustrze,  
gdy niema nikogo w  
pokoju... Dziś inni idą  
po nim do ataku po



*Retrospektywny dział portretu z XIX wieku.  
Van-Hogb. Portret.*

te same dobra, które  
on już zdobył i odsą-  
dzają go z kolei od  
talentu, itp., podobnie  
jak on to dawniej  
z innymi czynił. W  
„Salonie jesiennym“  
obecnie Matisse ma  
dwa obrazy, oba przed-  
stawiające wnętrza  
mieszkań w gamie ko-  
lorowej tak silnej i  
nateżonej, jaką przed-  
stawia np. powierzch-  
nia polewy kolo-  
rowych naczyń per-  
skich.

W stosunku do po-  
przednich prac Ma-  
tisse'a, te ostatnie nie  
wykazują ani postę-  
pu, ani jakichkolwiek  
zmian w ewolucyjnym  
sensie. Jedyną war-  
tością, wyróżniającą je



*Stanisław Rzecki. Polowanie Dyany (fresk).*





Stanisław Rzecki: „Głowa kobieca“ (fresk).

wśród ogółu częstokroć dyletanckich obrazów na omawianej wystawie jest ich nie kwestionowana „malarzkość“, rzeczywista materia obrazu, jaką stworzyć może tylko prawdziwy malarz, operujący właściwymi swemu zawodowi wartościami.

Obchodząc liczne sale tej jesiennej wystawy plastycznej widzi się właśnie, że tych istotnych „qualités“ malarskich spotyka się na niej bardzo mało, pomijam zaś fakt, że t. zw. „obrazu“, kompozycji w dobrym znaczeniu, nie ma na niej wcale.

Widzi się czasem usiłowania, próby kompozycji nieraz mniej lub więcej udatne, nigdy jednak nie dociągnięte, skończone i pełne.

W rzędzie takich właśnie dzieł dość sympatycznym zjawiskiem są dwa obrazy p. Maryi Marval, przedstawiające komponowane grupy dość ładnych kobiet na tle pejzażu, rysowane z talentem. Oba te obrazy mają niewątpliwy wdzięk artystyczny, są wytworami francuskiego smaku w lepszym znaczeniu; szkoda tylko że malarzki ich wyraz, ich kolorowa po-

wierzchnia są dość ubogie i trochę monotonne.

Kompozycyjnym wysiłkiem jest większych rozmiarów obraz p. Rice, amerykanki. Jest to dekoracyjne „panneau“ przedstawiające grupę kobiet dworskich, w kostymach z XVIII wieku, upozowanych dość malowniczo z myślą o wyzyskaniu jedynie plastycznego efektu malarskiego.

W sensie etnograficznych produkcji wybijają się też prace hiszpanów: A. Zarragi i braci Zubiaurre. Są to jednak obrazy akademickie w tem znaczeniu, że artystyczny ich poziom nie sięga w niczem ponad setki szkolnych wypracowań malarskich w tym rodzaju, podane są tylko w etnograficznym „sosie“ hiszpańskim nawet nie zupełnie czystym, ponieważ na kompozycjach braci Zubiaurre widocznym jest silny wpływ znane francuskiego malarza Cottet, malującego na tematy bretońskie.

Znaczną część wystawy „Salonu jesiennego“ zajmują pejzaże, słabe i nie zajmu-



Eugeniusz Żak. Kobieta z welonem.



jące w ogóle, a często wprost dyletanckie i nieudolne. Podziwia się niejednokrotnie w jaki sposób rzeczy nie mające żadnych niemal zalet artystycznych mogły zostać dopuszczone na tę wystawę. Tu i owdzie spotyka się czasem coś, co przypomina jeszcze malarstwo, jak obrazy *Friesz'a*, niektóre *Vlaminck'a*, dające się spamiętać właściwie jednak skutkiem szarżyzny i miernoty swego otoczenia.

Polaków wystawiających w „Salonie jesiennym“ jest dwudziestu kilku. Powiedział-

się nieraz bądź zajmującą zapowiedź dobrego rozwoju, bądź gotowe już rezultaty racjonalnej artystycznej pracy. W grupie tej spotykamy artystów wystawiających swe obrazy od kilku a nawet od szerego lat (E. Żak, Muttermilchowa, Gwozdecki, Buyko B.), oraz takich, którzy od niezbyt dawna przedstawiają rezultaty swych usiłowań artystycznych. Powiem, że ci, poniekąd debiutanci w tegorocznym „Salonie jesiennym“ bardziej wyróżniają od pierwszej grupy.

Na czele tychże do zanotowania nasuwają

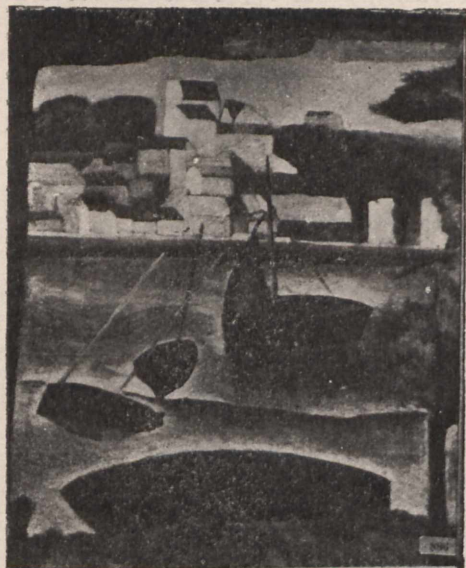


Eugeniusz Żak. „W lecie“.

bym, że słabą stroną polskiego wysiłku artystycznego na tej wystawie jest brak rasowych, polskich cech i brak jednolitości dążenia. Wynikają one z przyczyn natury zarówno ogólnej jak i szczególnych. Pierwszą z tych jest w ogóle dzisiejsza epoka, pełna wahań i niepewności, drugą zaś jest brak istnienia silnej, polskiej tradycji w plastyce. Poza tem jednak w poszczególnych wysiłkach naszych artystów w Paryżu widzi

się dwa nazwiska: *St. Rzeckiego* i *E. Nadelmanna*, dlatego, że przedstawione tu wyniki ich artystycznej pracy są może najbardziej indywidualne, niezależne od lokalnych, paryskich wpływów z ostatniej doby. *Rzecki St.* dąży wyraźnie do kompozycji obrazu, pojętej poważnie, wypływającej z istotnej potrzeby stworzenia sobie własnych środków do wypowiedzania się, czego przekonywającym dowodem jest obraz, p. t. „Polowanie





M. Kisling. Port w Audièrne.



M. Kisling. Studyum głowy.

Dyany“. Jest to zamknięta w sobie kompozycja malarska, w której autorowi nie chodziło o żadną anegdotkę lecz o rzetelnie plastyczny wyraz swoich przekonań malarskich.

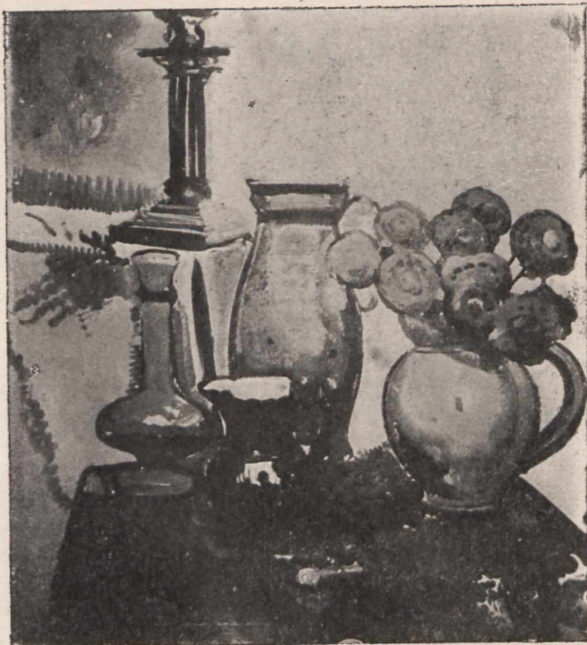
W przekonaniach tych powodem do malowania obrazu jest rozwiązanie zagadnienia, czy zadania plastycznego, które polega na takim ustosunkowaniu form i mas w obrazie, aby dały one harmonijny, wystarczający sobie całokształt, tłumaczący się od razu jasno i wyraźnie. Zadanie to zostało rozwiązane w omawianym obrazie szczęśliwie, za pomocą środków czysto malarskich; „Polowanie Dyany“ Rzeckiego, zaleca się jako obraz pięknym układem form i linii tłumaczących wyraźnie, w sposób plastyczny zasadniczą ideę obrazu. Poza tem koloryt jego jest miły, polegający na harmonijnem zestawieniu barw, dających cały zespół kolorów, przerobionych na wcale szlachetną materię malarską. Malowane to było na murze, „al fresco“, podobnie jak drugi obraz Rzeckiego z tej wystawy p. t. „Głowa kobieca“; oba dowodzą znacznego opanowania malarstwa ściennego, które jako materiał jest oporniejsze od olejnego i nie nadaje się do improwizacji w tym stopniu, co to ostatnie. Ten właśnie wzgląd nakazuje dostateczne przygotowanie całej roboty jeszcze przed zaczęciem obrazu, co ma tę dobrą stronę, że wymaga namysłu i pełnej świadomości celu i środków do roboty. Prócz wymienionych obrazów ma Rz. ponadto w „Salonie jesiennym“ cztery akwaforty, zatytułowane jako studia do obrazu p. t. „Śmierć św. Stanisława“. Potwierdzają one powyższe uwagi o usiłowaniach Rzeckiego w sensie poważniejszej kompozycji i dowodzą, że artysta ten myśli próbować swych sił w zlekceważonym dziś rodzaju malarstwa historycznego oraz, że w przeciwieństwie do tylu młodszych polskich malarzy nie rozprasza swych sił na drobne studia i eksperymenty, lecz ześrodkowuje je w jednym kierunku.

Praca E. Nadelmanna jest również dowodem zdrowego sensu i praktyczności w zakresie plastyki. Nadelmann jest rzeźbiarzem, w którego kilkuletnim wysiłku jest rzadka konsekwencja i wytrwałość. Przybywszy do Paryża N. studiując słynne zbiory Louvre'u,



poddał się urokowi plastyki starożytnej, greckiej z najlepszych epok i dzieła te obrał za punkt wyjścia dla własnej pracy. Kopiując je początkowo wiernie, w ciągu lat siłą inteligentnego wysiłku doszedł do *zrozumienia* zasad tej plastyki i na tej podstawie zaczął tworzyć co raz bardziej niezależnie tak, że dziś daje już rzeczy oryginalne, których pierwszą zaletą jest wyjątkowe opanowanie formy i zupełna świadomość zadania i celów tej rzeźby. Poddawszy się wpływowi plastyki greckiej i studiując ją konsekwentnie, ze znacznym nakładem czasu i pracy N. uchronił się wielu błędów ciążyących na współczesnej rzeźbie, z których największymi bodaj są: praca w niewłaściwym materiale jak glina i wogóle materye *podatne* i miękkie, nie stawiające oporu, oraz realizowanie wartości obcych rzeźbie jak poszukiwanie efektów malarskich, światłocieniowych, i t. p. Inspirując się na wspomnianych źródłach i studiując je pilnie, N. pojął i *przekonał* się, że formy jako takie mogą i powinny być zadaniem zupełnie wystarczającym dla pracy rzeźbiarza. Dlatego też z robót Nadelmanna widocznym jest zadowolenie, jakie dać może tylko owocna, z całym przekonaniem i pasją prowadzona praca. Wystawione w „Sal. jesien.“ trzy rzeźby N. („Głowa kobieca“, „Żongler“ i „Naga kobieta“), nie dają pełnego wyobrażenia o jego wysiłku artystycznym, wyróżniają się jednak zaszczytnie z ogółu rzeźb. Są to obrazy, z których najbardziej udałym jest „Żongler“ — mała, złożona statuetka, utrwalająca się w pamięci widza jako dzieło o wysokim poziomie i zaletach prawdziwego artyzmu.

W znaczeniu poważniejszej



Gustaw Gwozdecki: „Zielony dzbanek“.



J. Merkel: „Adam i Ewa“.





Janka Grossmann: Dziecko z motylami.



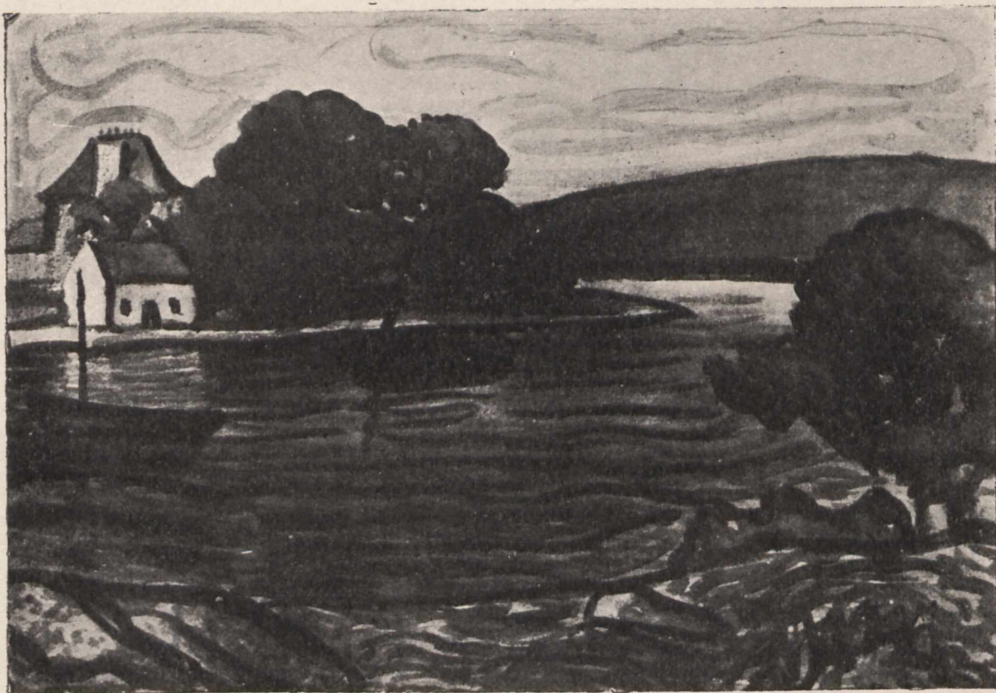
Janka Grossmann: Dziecko z kwiatami.

pracy pojmuję się również dzieła E. Żaka, który mimo młodego wieku, należał już kilkakrotnie do „jury“ „Jesiennego Salonu“ i obrazy jego nie podlegają już sądowi przyjmującemu na tę wystawę. Dziesięcioletni stały pobyt w Paryżu urobił Żaka odmiennie, niż tych co na krótko wpadają na studia, lub stale pracują w kraju. Obrazy jego są pośrednią wpływu studyów muzealnych oraz nowoczesnych prądów i haseł malarskich, obiegających Paryż w tymże okresie czasu. Mimo to, są one indywidualne, mają niezaprzeczony, oryginalny wdzięk artystyczny. Dowodzą przytem znacznej stosunkowo umiejętności i doświadczenia malarskiego. Żak komponuje swe dzieła, obmyśla je w sensie iiteracko-rysunkowym, z mniejszym może naciskiem na ich malarski wyraz, jakkolwiek nie można im odmówić wartości kolorowych, realizowanych nieraz w bardzo miłych zestawieniach.

Załączona np. reprodukcja z obrazu Żaka wystawionego na obecnej wystawie „Salonu“ p. t. „Lato“, daje niezłe wyobrażenie o rodzaju jego pracy. Plastyczny wyraz samego założenia tego obrazu tłumaczy w sposób przystępny, jasny „literacką“ ideę lata, czy upalnego dnia wogóle. Ideę tę uzmysłowil Ż. sposobem syntetycznym, nie *impresyonistycznie*, za pomocą trzech figurek upozowanych i zgrupowanych tak, że tłumaczają zupełnia intencje autora obrazu. Uważam to za znaczną zaletę, gdyż tego rodzaju komponowanie obrazu powinno być podstawową jego wartością. Słabszą nieco w stosunku do dawniejszych dzieł Żaka jest kolorowa strona tej pracy, mniej obmyślona i logicznie dostosowana do zasadniczej jego treści. Z pozostałych polskich artystów interesująco zapowiedział się na tej wystawie krakowianin M. Kisling, w dość oryginalnem studjum głowy i skomponowanej „Martwej naturze“. G. Gwozdecki w swym „Zielonym dzbanie“ udowodnia niewątpliwe zdolności malarskie, które znamy już od dość dawna: wolelibyśmy jednak widzieć je ześrodkowane w jednej, poważniejszej i kompozycyjnej pracy, nie zaś rozpraszane na szereg studyów.

Portrety L. Gottlieba nie wykazują żadnego postępu u tego malarza. Nie mogą powiedzieć, aby świadczyły o braku zdolności





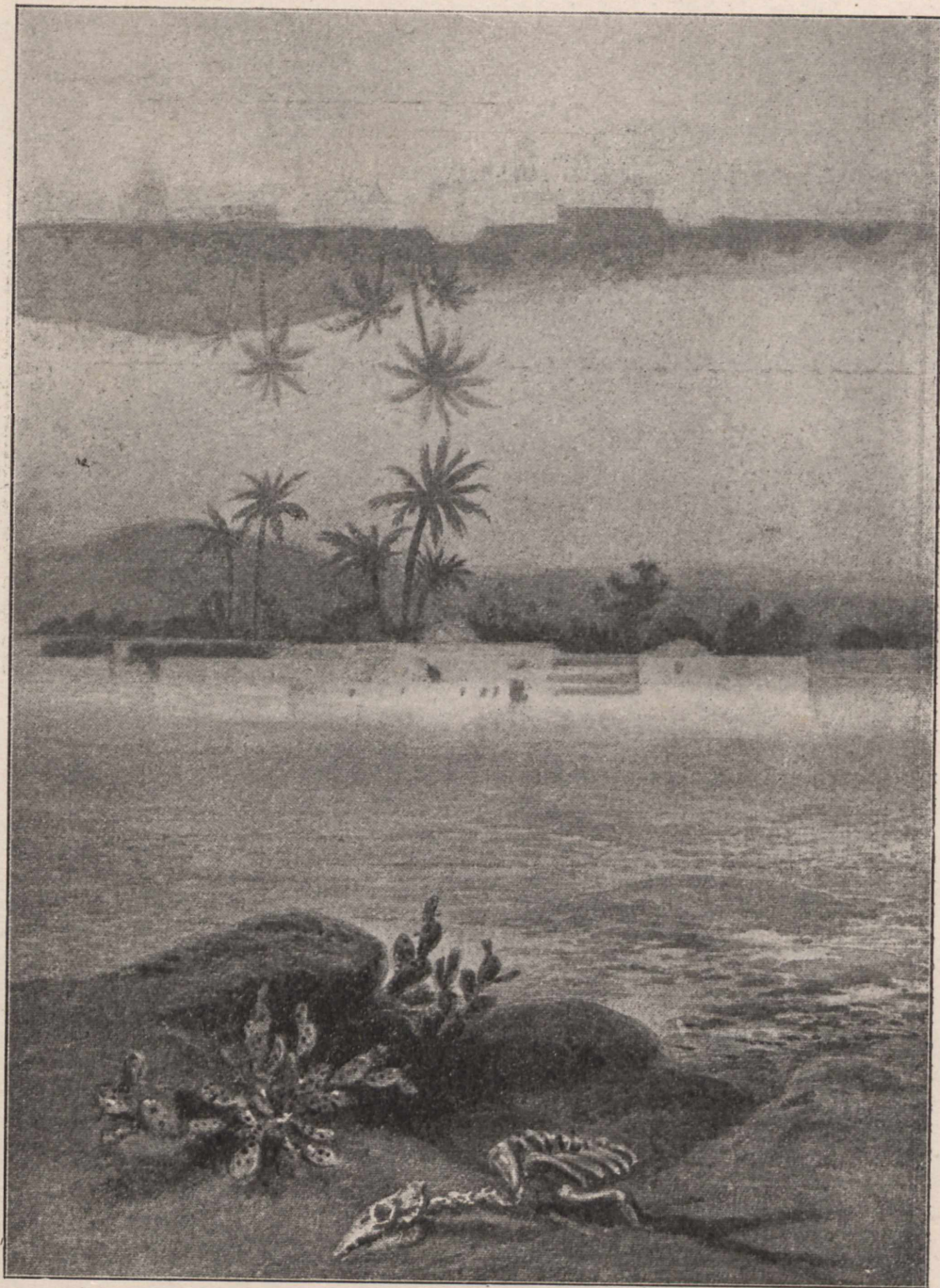
Adam Grabowski. Pejzaż.

malarskich, przeciwnie — podkreślają one jednak raczej wady, niż zalety talentu G. tem, że są pobieżniejsze w rysunku i kolorze od dawniejszych jego prac, a powtórę wykazują manieryczną skłonność do karykaturalnej charakterystyki portretowanych osób. Obrazy *Merkla* wykazują tendencje do „prymitywności“ w malowaniu oraz kompozycji, pojętej nieco w guście prac E. Żaka. Tendencje te jednak są dość powierzchownej, płytkiej natury, a nawet jako takie dalyby się przyjąć jako *punkt zaczepienia* dla artystycznej pracy, gdyby ich malarski praktyczny wyraz nie był tak odrażająco surowy, bez wdzięku, jak to ma miejsce w obrazach Merkla. Surowość ta ma w sobie coś z prusko niemieckiej szorstkości, tak, że nie mogą jej przeciwważyć nawet zalety szczegółowego opracowania

rzeczy M. i znacznego nakładu pracy, są to bowiem wartości *estetyczne*, które albo się przyjmuje albo się je odrzuca, jako naturalną reakcją *smaku*. Sympatyczniejsze już i wdzięczniejsze są obrazki p. *J. Grosmana*; niektóre mogłyby być użyte do dekoracji pokoju urządzonego w stylu „biedermajerskim“.

W rzędzie pejzaży zauważa się jeszcze prace p. *Hassenberga*, efektowne i zajmujące akwaforty p. *S. Ordyńskiej*, dość zręczne i sprytne w technicznym sensie rzeczy *Rubczaka*, studia *Pelczyńskiego* Czesława, efektowne akwarele *B. Buyki*; wreszcie pejzaże warszawianina *A. Grabowskiego*, *Wiktora Borkowskiego*, dwie niezłe rzeźby *Sobczaka* i *Czernego* Wacława. Studia p. *Muttermilchowej* są niejako dalszym ciągiem jej znanych prac w tym rodzaju.





*MIRAŻ. Większość miraży jest przykładem całkowitego odbicia od warstw powietrza. Promienie, zmieniawszy kierunek, dochodzą oczu spostrzegacza; przyczem zdarza się często, że inne promienie, nie załamane ku dołowi, są także obecne, tak iż wydaje się jak gdyby przedmiot przeglądał się w wodzie; czasem te położenia są odwrotne i odbicie znajduje się w górze, jak w wypadku, wyobrażonym na tej rycinie.*



## Z dziwów przyrody.

### MAMIDŁA I WIDMA POWIETRZNE

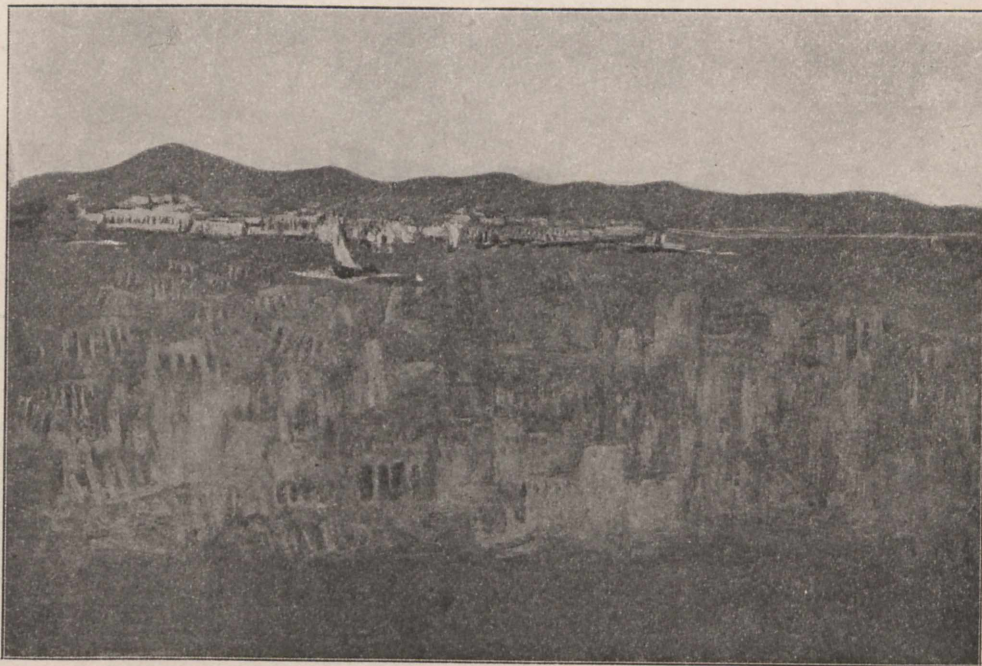
#### TAJEMNICZE ZJAWISKA

W dziełach podróżników, błędzących w pustyniach Sachary, albo Meksyku, w sprawozdaniach badaczy stref podbiegunowych, a nawet w ulotnych wrażeniach turystycznych spotykamy niejednokrotnie opisy tajemniczych zjawisk powietrznych, które otrzymały różne nazwy, zależnie od miejscowości, do których się odnoszą.

kie te nazwy odnoszą się do zjawisk, nazywanych pospolicie mirażami.

Nazwa ta odnosi się przeto do urojonych obrazów, ukazujących się na niebie, do zjawisk optycznych, które dawniej przypisywano siłom nadprzyrodzonym, a które obecnie nauka dostatecznie wyświeśliła.

Co najdziwniejsze, że obrazy miast, okrętów, wysp, oraz innych przedmiotów, uka-



*Fata Morgana, obserwowana w cieśninie Messyńskiej.*

W Cieśninie Messyńskiej, u wybrzeży Sycylii, nazywają je Fata morgana, w pustyniach afrykańskich „serab“; marynarze zaś ochrzczili je z angielska wyrazem „looming“. Wszyst-

zują się często ludziom znajdującym się w odległości kilkuset mil, a nawet kilkudziesięciu mil od tych przedmiotów. Obrazy są raz wyraźne, nie pozostawiające żadnej wątpli-



wości co do swego istnienia, innym razem niejasne, przymglone, pozacierane, niewyraźne, tak że można je łatwo wziąć za złudzenie, zmysłów podnieconych chorobliwie. za majaczenia ludzi, ulegających gorączce skutkiem silnego pragnienia.

Podróżnik zblakany z tchnącej żarem pustyni, trawiony pragnieniem, marzy, rzecz naturalna, o dobroczynnym źródle, które wybawi go od strasznej śmierci i w jego umyśle tkwi żądza niepokonana. I nagle jego oczom ukazuje się grupa palm, cienista oaza, domki białe otoczone zielenią. Wysmukle

ze szczytu marzeń na dno rozpaczy, gotów rzucić się w objęcia czychającej nań śmierci

Takie opisy czytaliście nieraz, a nie ma w nich żadnej przesady; nie są to złudzenia chorych zmysłów, ani mózgu, trawionego gorączką pragnienia. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem optycznym, które da się wytłumaczyć zgodnie z zasadami fizyki.

Podczas kampanii napoleońskiej w Egipcie, niejednokrotnie zdarzało się, iż żołnierze dręczeni pragnieniem w pustyni, dawali się uwieść takim zwodniczym obrazom. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, armii



*Miraż w pustyni.*

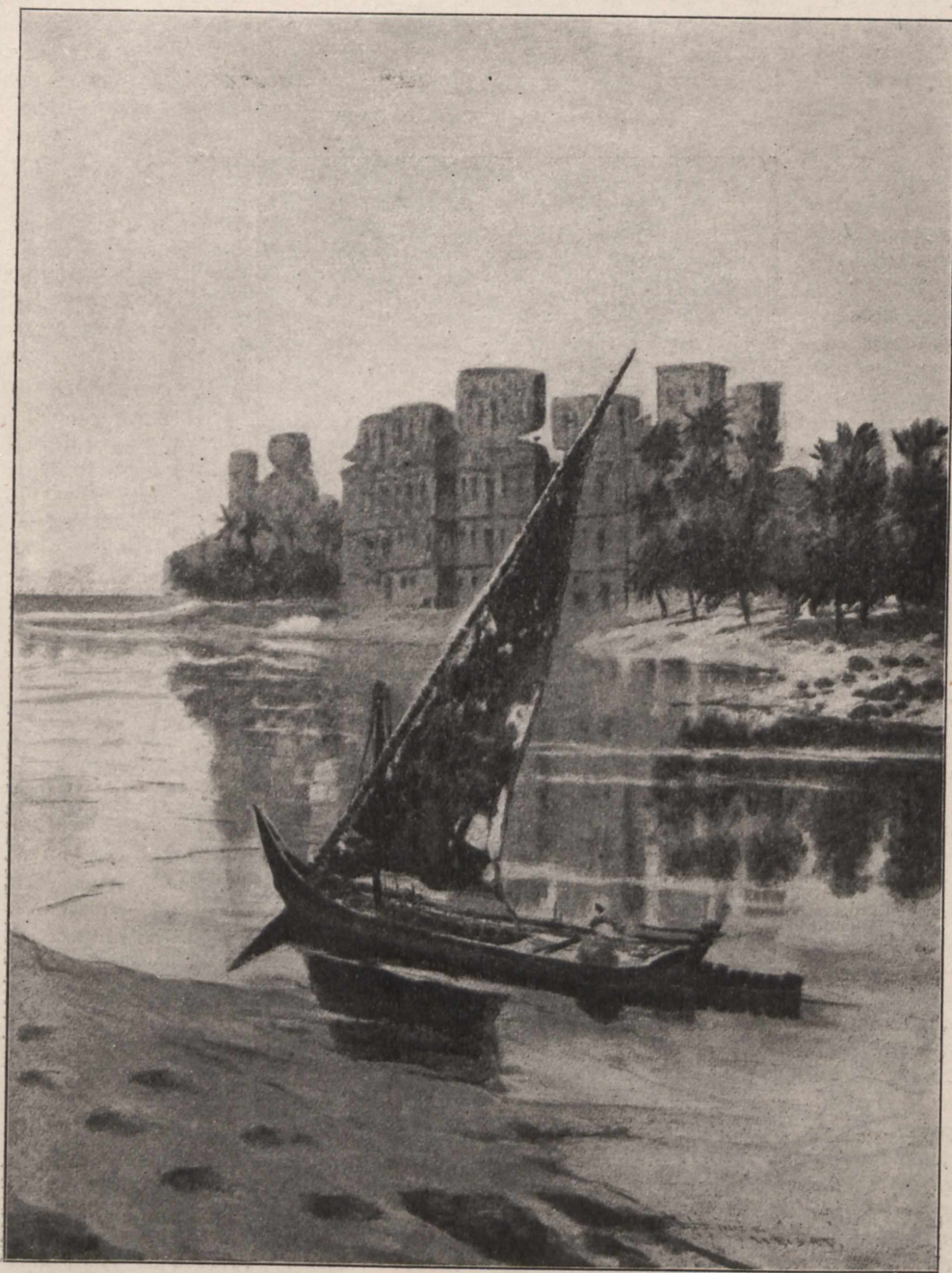
korony palm maktylowych odbijają się w błękitach wód, jak w zwierciadle, marzeń ucieśnia się w jednej chwili. Wędrowiec wydaje okrzyk radości, wyteża wszystkie siły, podąża do miejsca, gdzie czeka nań orzeźwiający chłód i ożywcze źródło.

Niestety, przybywszy do punktu, w którym, jak mu się zdawało, znajduje się oaza, dostrzega z przerażeniem piekący stopy piasek i nic więcej. Urocze palmy i woda przejrzysta rozwinęły się gdzieś, znikły niepowrotnie. Podróżnik, który już uważał się za wybawionego, traci ostatnią nadzieję i spada

towarzyszył obywatel Monge, znakomity francuski fizyk i matematyk. Jemu to zawdzięczamy naukowe ujęcie i wyjaśnienie tych zjawisk, które w umysłach ludzi prostych wyrastały do jakichś nadprzyrodzonych dziwów.

Jeżeliby ktoś chciał się zadowolnić krótkim, pobieżnym wytłumaczeniem mamidła to możemy dać je w paru słowach: Miraż ukazuje się, gdy skutkiem nader silnego ogrzania się dolnych warstw powietrza od rozpalonej od słońca ziemi, gęstość powietrza, odwrotnie aniżeli w normalnych warunkach,





MIRAŻ.



wzrasta ku górze, zamiast ku dołowi. Stąd promienie świetlne, dochodzące od dalekich przedmiotów, ulegają załamaniu ku górze, a błękit niebios, odbijając się w gorących warstwach powietrza, daje złudny obraz powierzchni wody nawet tam, gdzie się ona wcale nie znajduje.

## FATA MORGANA

Ażeby sobie lepiej zdać sprawę z różnorodności tych zjawisk, musimy je opisać bardziej szczegółowo. Zaczniemy od tego, co włosi nazywają Fata Morgana.

Na południowych wybrzeżach Włoch i Sycylii, w pobliżu bagnistych okolic, ukazują się nieraz tajemnicze światła, wędrujące po powierzchni morza w pobliżu lądu, a niemające nic wspólnego z elektrycznymi ognikami Św. Eljasza. Nieokreślona, chaotyczna masa światła, której natężenia ani postaci niepodobna bliżej oznaczyć, unosi

się po nad morzem. Są to jakby pałace, domy spiętrzone jeden na drugim, jakieś miasto tajemnicze, które nagle powstało z niczego. Wszystko to drży, podskakuje, na pozór niezależne od wiatru, ale w istocie rzeczy posłuszne każdemu, najlżejszemu podmuchowi.

Czy są to odbicia odległej Messyny, czy

też gra światła, w której fantazyja ludzka dopatruje się budynków? Tego napewno nie można powiedzieć. Zjawisko ma miejsce w pewnych określonych warunkach atmosferycznych. Domy i ruchome przedmioty błądzą po powierzchni morza, zmieniając swoje położenie zależnie od prądów atmo-

sferycznych. Czasami leżą one jakby na wodzie, chociaż niejednokrotnie można je obserwować o jakieś trzydzieści stóp ponad powierzchnią.

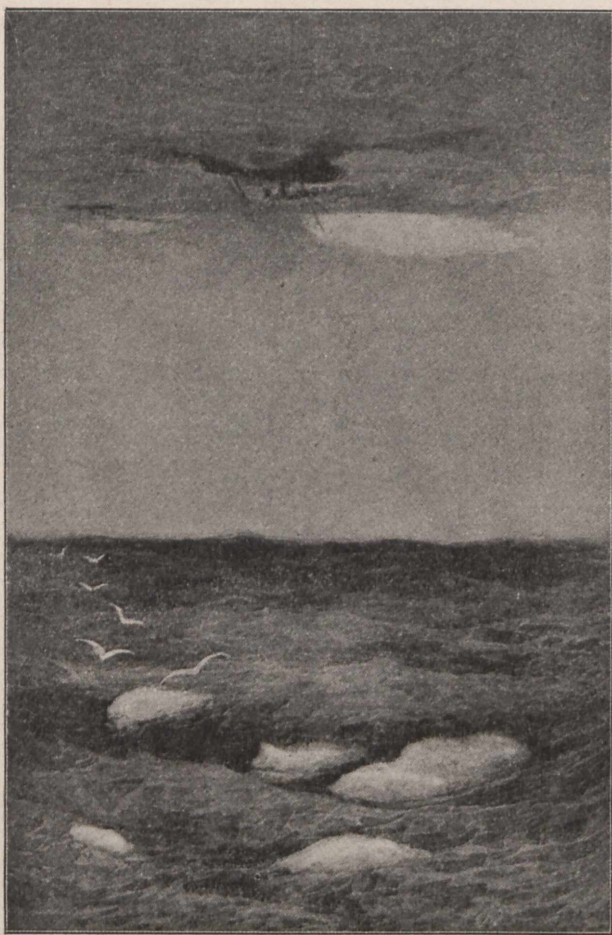
Oto zjawisko, które nosi pospolitą nazwę Fata Morgana. Nasz rysunek wyobraża taką Fata Morgana w pobliżu Messyny, widzianą w cieśninie tejże nazwy.

## WYTŁOMACZENIE MIRAŻÓW

Jeżeli Fata Morgana ma w sobie wiele niejasnego, to miraż pustynny, zwane „serab“ dają się zupełnie naukowo wytłóczyć. W normalnym wypadku przedmioty są wi-

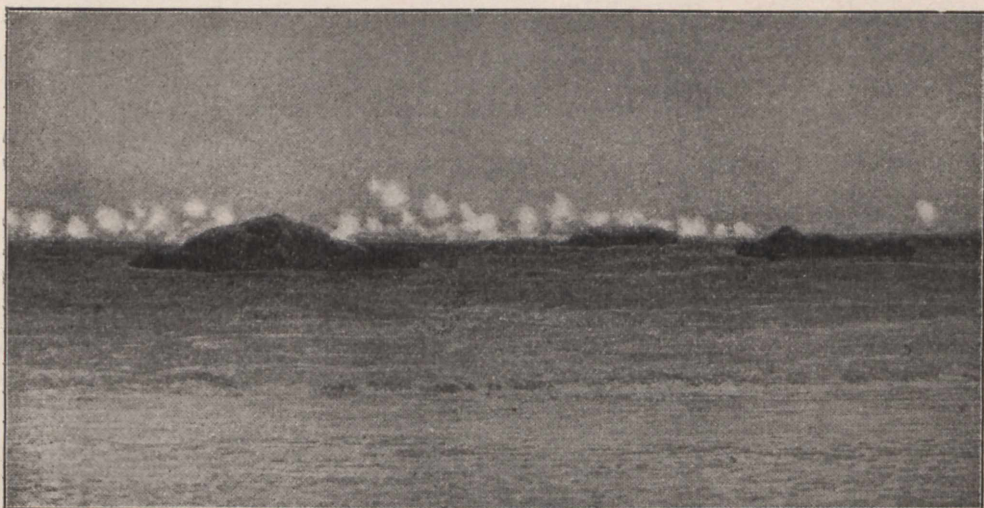
dzialne dzięki promieniom światła, idącym prosto od przedmiotu do naszego oka.

Jeżeli przytem powietrze ma jednostajną gęstość, i jeżeli przedmiot nie leży ani za wysoko ani za nisko pod horyzontem, to oko dostrzega go w prawdziwym kierunku, to jest w rzeczywistym położeniu. Jeżeli jednak po-



*MIRAŻ. W polarnych okolicach podróżnicy nieraz obserwowali odwrócone obrazy okrętów tak odległych, że ich wprost dojrzeć nie było można.*





Fale bijące o koralowe rafy są widzialne zdaleka jako odbłyśki pian na niebie. Obserwacja S. Kenta w pobliżu wielkiej baryery rafowej u wybrzeży wschodniej Australii.



MIRAŻ W POLSCE. W obłokach jest widoczne odbicie statku. Zdjęcie wykonane nad brzegiem Wisły pod Krakowem, w roku 1909.



wietrze, czy wogóle środek, w którym odbywa się sprawa widzenia, nie posiada jednokowej gęstości w całej swojej masie, albo jeżeli ma miejsce zmiana ośrodka, (naprzykład jeżeli światło wychodzące od przedmiotu przechodzi najprzód przez powietrze, a potem przez wodę, lub odwrotnie) to wówczas droga, którą przebywają promienie światła, nie jest prosta, jak w pierwszym przypadku, lecz ulega załamaniu. Skutkiem takiego właśnie załamania się promieni świetlnych pałeczka drewniana zanurzona w wodzie wydaje nam się złamaną u powierzchni wody, przyczem zanurzona jej część jest wygięta pozornie ku górze. Jeżeli moneta leży na dnie naczynia o nieprzezroczystych ścianach w takim położeniu, że znajduje się prawie na samej linii widzenia obserwatora, to przekonamy się, że napelniając naczynie wodą, dostrzegamy w końcu monetę dzięki załamaniu się promieni świetlnych. Jest to powszechnie znane doświadczenie fizyczne.

Promienie światła, przechodzące z rzadszego przezroczystego ośrodka do innego ośrodka przezroczystego, ale gęściejszego, zmieniają swój kierunek, ulegając załamaniu, przyczem, jak wiadomo, promień światła, przechodząc ze środka rzadszego do gęściejszego nachyla się *ku* linii prostopa-

dłej, oddzielającej oba te środki. Przeciwnie, zaś przechodząc z ośrodka gęściejszego do rzadszego odchyła się *od* tej prostopadłej.

Jeżeli kąt padania promieni dosięga pewnej granicy, zwanej kątem krytycznym, wówczas wszystkie promienie, przenikające do gęściejszego środka bardziej ukośnie t. j. pod większym kątem, aniżeli ów krytyczny kąt, muszą pozostać w gęściejszym środku. Dla powietrza i wody kąt krytyczny wynosi mniej więcej  $48\frac{1}{2}^{\circ}$ ; zjawisko t. zw. całkowitego odbicia zachodzi wówczas, gdy promień wpadający do gęściejszego środka (albo do gęściejszej warstwy tegoż środka, co na jedno wynosi) dociera do powierzchni oddzielającej



Cień rzucony na tło mgły, obserwowany w Andaluzji  
4 kwietnia 1883 r.

ulega załamaniu i przechodzi, inna część ulega odbiciu a reszta rozproszeniu; zaś w całkowitem odbiciu światło padające całkowicie odbija się (żadne promienie nie załamują się) jakby od doskonałego zwierciadła.

Jeżeli np. będziemy spoglądali na powierzchnię wody w szklance cokolwiek od dołu, to wyda się nam ona jakby wypolero-

witego odbicia zachodzi wówczas, gdy promień wpadający do gęściejszego środka (albo do gęściejszej warstwy tegoż środka, co na jedno wynosi) dociera do powierzchni oddzielającej dwie warstwy nierównej gęstości, przyczem tworzy względem prostopadłej do tej powierzchni wystawionej, kąt większy od krytycznego.

Takie odbicie zwiemy *całkowitem*, gdyż w normalnych warunkach refrakcji tylko jakaś część





WIDMO BROKENU.



waną, srebrną płytką i skutkiem właśnie takiego „całkowitego odbicia“.

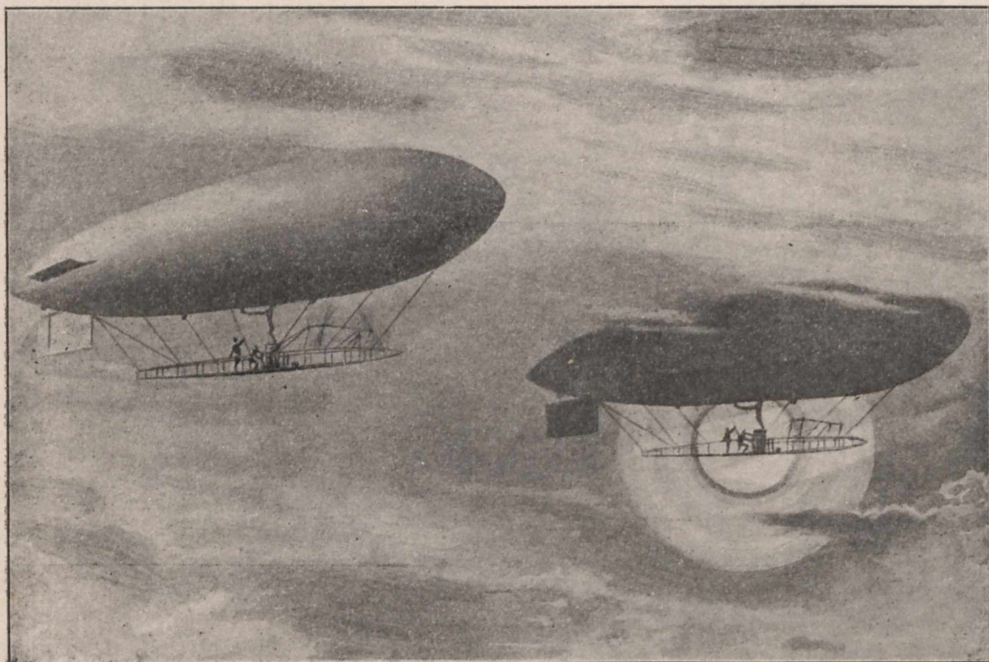
Większa część mirażów stanowi przykłady całkowitego odbicia się w warstwach niejednakowej gęstości. Piasek pustyni jest silnie nagrzewany przez słońce podzwrotnikowe, skutkiem czego warstwy przyziemne powietrza są lżejsze i gorętsze, aniżeli warstwy wyżej leżące.

Promienie biegnące ukośnie ku dołowi od przedmiotu znajdującego się w rozgrzanych i o wiele lżejszych warstwach, ulegają

dzimy równocześnie sam przedmiot w naturalnem położeniu dzięki promieniom, które nie padły na powierzchnię odbijającą. Zachodzi tu więc zjawisko takie same, jak gdyby przedmiot odbijał się wraz z błękitem niebios w wodzie; z tąd otrzymujemy złudzenie wody, której wcale nie masz.

Tego rodzaju miraż są nieraz widywane po przez jeziora podczas pięknej, jesiennej pogody. W tych wypadkach woda ogrzewa niżej położone warstwy powietrza.

W okolicach podbiegunowych Scoresry



**WIDMO BROKENU W OBŁOKACH.** Żeglarz powietrzny widzi cień swego balonu na tle chmury. Koła otaczające postacie powstają skutkiem uginania się promieni światła.

załamaniu co raz bardziej ku górze, im dalej się przedzierają, aż w końcu padają na warstwę gęściejszego powietrza pod kątem mniejszym aniżeli kąt krytyczny. Nie mogą więc do jej wnętrza przeniknąć i zachodzi ich całkowite odbicie, skutkiem czego owe promienie dosięgają oka obserwatora, zmieniawszy swój pierwotny kierunek, i wydaje się nam, że przychodzą one do nas z punktów o tyle niżej położonych, aniżeli warstwa odbijająca, o ile przedmiot leży wyżej nad nią; zdarza się przytem, że wi-

i inni podróżnicy widywali odbite na niebie w odwrotnem położeniu okręty, których z powodu wielkiej odległości niepodobna było dostrzedz nawet z bocianiego gniazda, przy pomocy teleskopu. W tych wypadkach lód i morze ochładzają tak dalece powietrze, że gęstość jego wzrasta gwałtownie ku dołowi. Promienie świetlne idące w górę załamują się co raz bardziej ku dołowi; (posłuszne różnicom gęstości warstw powietrza) aż w końcu podlegają całkowitemu odbiciu i obraz ukazuje się w powietrzu tem wy-





*Koła otaczające księżyc, które tworzą się skutkiem uginania światła, przechodzącego pomiędzy kropelkami mgły.*



żej, im niżej pod horyzontem są położone przedmioty.

Pokrewne z mirażami jest zjawisko, zwane przez marynarzy angielskich „looming” (odbłyski). Odległe przedmioty wydają się tu położone znacznie wyżej, aniżeli w istocie i znacznie bliższymi raz wprost, to znów w odwróconem położeniu.

Skonstatowano raz, że wierzchołek Etny wydawał się skutkiem załamania się promieni słonecznych, podobnym do wyspy. Kilka okrętów udało się z Malty, ażeby objąć w posiadanie tak nagle wyłoniony z głębin łąd, lecz ten rozwił się, aż niebawem zupełnie zniknął. Warunkiem niezbędnym jest tu spokój w powietrzu; jeżeli następnym, skutkiem nienormalnego ogrzania lub ochładzania, prawidłowy spadek temperatury od dołu ku górze ulega zakłóceniom, to zachodzi całkowite odbicie od powierzchni rzadszej warstwy powietrza. Promienie świetlne, przechodzące przez powietrze, załamują się coraz bardziej ku dołowi lub ku górze w kierunku, gdzie leży gęściejsza warstwa i stąd dają obrazy przedmiotów, które nie byłyby inaczej widzialne.

Nad *ogrzaną ziemią* jest widzialna część nieba, które leży jakby na jej powierzchni i robi wrażenie wody; gęściejsze warstwy leżą powyżej i promienie świetlne załamują się ku górze. W podbiegunowych okolicach jest zgoła odwrotnie, gdyż najgęściejsza warstwa leży na dole, promienie świetlne załamują się ku dołowi i przedmioty leżące pod horyzontem odbijają się w górze.

### TECZE I KOŁA

Wience ubarwione, obejmujące zbliska księżycową tarczę są pospolite; lud nazywa je „lisia czapka”. Ukazują się one zwykle przy lekkich chmurkach. Tłómaczymy ich powstawanie uginaniem się światła, przedzierającego się pomiędzy drobnymi pęczkami mgły, unoszącej się w powietrzu.

Ale zdarzają się daleko świetniejsze zjawiska. Nieraz widzimy jak słońce albo księżyc otaczają wielkie, jasne pierścienie, przedstawiające się nader efektownie. Początek tych pierścieni jest zgoła inny, aniżeli lisiej czapki. Zjawiają się one zwykle przy obecności na niebie lekkich, pierzastych chmu-

rek, bujących bardzo wysoko, a składających się, jak wiadomo, z drobnutkich kryształków lodu. Promienie słoneczne, czy księżycowe, załamując się w tych małych kryształkach, dają początek przepięknym wieńcom, które najczęściej zdarzają się w podbiegunowych okolicach, gdzie atmosfera jest przesycona kryształkami lodowemi.

Niejednokrotnie badacze polarni podziwiali kilka kół z bocznymi słońcami, czy księżycami, które tworzyły razem z głównym uroczym zjawiskiem o przepięknych barwach i refleksach rzuconych na morze.

### WIDMA POWIETRZNE

Bujając w balonie, w chmurach, albo stojąc na odosobnionym szczycie górskim, widz, mający za plecami świecące pięknie słońce, a przed sobą wielką płachtę gęstej mgły, czy chmurę, dostrzega nieraz swój własny obraz, powiększony do potwornych rozmiarów, rzucony na mglistą oponę i otoczony kilkoma świetlistymi kołami.

Obraz ten, którego wielkie rozmiary polegają na złudzeniu optycznym, jest cieniem rzuconym na tło mgły; koła świetlne powstają zaś skutkiem dyfrakcji czyli uginania się światła, przechodzącego pomiędzy drobnymi kropelkami wodnymi, z których składa się mgła.

Obrazy te były po raz pierwszy dostrzeżone na szczycie Broken w górach Harzu, i stąd otrzymały nazwę widm Brokenu.

Zdarzają one jednak wszędzie, nawet wysoko po nad ziemią, jak widzimy na załączonej ilustracji, ilekroć nadarzą się sprzyjające ich powstawaniu warunki.

Bogata jest skarbnica przyrody i nauka wydobywa z niej coraz to nowe, coraz bardziej zadziwiające zjawiska i stara się je wyjaśnić. Ale najdokładniejsze nawet wytłomaczenie nie zdoła zderzeć z nich uroczego piękna. One czynią świat powabnym dla tych, którzy nie zamknęli jeszcze oczu na piękno w przyrodzie i zagląдают chętnie do jej otwartej dla każdego, bezcennej księgi.

Władysław Ulmiski



*N. de Musset*

## Mimi Pinson

Mimi Pinson ma włosy złote,  
Zna połysk ich młodzieży rój.  
Sukienkę—jedną ma sierotę,  
Landerirette!  
Jedyny strój.  
Sułtan jest większym elegantem.  
Chciał widać Bóg uczynić ją  
Wszech cnót brylantem.  
Nie może mieć w lombardzie fantem  
Sukienki swej Mimi Pinson.

Mimi Pinson pierś zdobi róża,  
Śląc z płatków białych wonny dech.  
Ten kwiat z jej serca się wynurza,  
Landerirette!  
Bo to jej śmiech.  
Przy winie siedzi nie jak kwakier:  
W takt jej piosenki szklanki drżą,  
Ław pęka lakier.  
Przechyla czasem się na bakier  
Czepeczek jej, Mimi Pinson.

Oko ma bystre, gest ma żwawy.  
Daremnie galant ten i ów  
Niszczy o ladę jej rękawy,  
Landerirette!  
I wraca znów.  
Choć grzeczna, dwo na, by w salonie,  
Każdy z nich bierze lekcję swą,  
Jak tam, w Sorbonie.  
Niech się nie ważą żadne dłonie  
Sukienki miąć Mimi Pinson.

Może przez losu psotne figle  
Życie samotna przejdzie. Cóż?  
Zostanie zawsze wiernym igle,  
Landerirette!  
Paluszków róż.  
Nie starczą frantów piękne słówka,  
Nie chroni serca jej przed skrą  
Tylko sznurówka.  
Rozważna, dumna nosi główka  
Czepeczek jej, Mimi Pinson.

Jeśli jej w kwiat pomarańczowy  
Oplecie miłość wreszcie škroń,  
Rzuci jej wzamian dar królowej,  
Landerirette!  
Jej hojna dłoń.  
Nie splami żadną się szacherką,  
Nie, płaszcz, na którym herby lśnią  
Szychową skierką:  
Uryańskiej perły da puzderko,  
Sukienkę swą Mimi Pinson.  
Przełożył *M. M. Bożawola-Poznański.*



# DOMY OLBRZYMY

Domy-olbrzymy, zwane „drapaczami nieba”, które powstały w wielkich miastach po drugiej stronie Atlantyku, osiągają wysokość wprost zdumiewającą. Mimowoli, mówiąc

o nich, zaczynamy marzyć o biblijnej wieży Babel, a słabe nerwy nasze, europejczyków, zblazowanych kulturą dwudziestu stuleci, przyprowadzają nas o dreszcz, skoro pomyślimy, że na tej zawrotnej wysokości mieszkają ludzie; więcej nawet: że na tej wysokości pracują cieśle, mularze, ślusarze i t. p., których życie każdej chwili może podlegać wypadkowi, związanemu z gorączkową pracą na ciasnym i niebezpiecznym rusztowaniu. Zdaje się, że takie miasta,

jak Nowy-York, Chicago, Baltimore i San-Francisco wypowiedziały sobie wojnę w tem parciu ku chmurom, i że między nimi ma rozstrzygnąć się jakiś piekielny konkurs na

wysokość, osiągniętą przez „drapacze”. Walka ta zaczyna nawet niepokoić władze amerykańskie, które uznają potrzebę zatrzymania niebezpiecznego wyścigu. Istnieje projekt wy-

dania przepisów, ograniczających wysokość nieruchomości, jak to ma miejsce w starym świecie dla naszych skromnych domków 6, 7 i 8 piętrowych.

Tymczasem gorączka amerykańska pcha budowniczych do coraz śmielszych wycieczek w sferę napowietrzną.

Oto mamy przed sobą dwa olbrzymy: dom Towarzystwa „Equitable” i budynek, wzniesiony w sercu Nowego-Yorku, na Madison - Square przez Towarzystwo Ubezpieczeń „Metropolitan Life Insurance Company”. O-

statni strzela w niebo wieża o przekroju kwadratowym na wysokość 233 metr. Ochrzczono ją nazwą „Campanile”, gdyż przypomina swym wyglądem słynną dzwonnice na placu



*Praca na rusztowaniu w obłokach.*



św. Marka. Ale tylko wyglądem... Wenecka bowiem Campanilla stoi melancholijnie, wsłuchując się w szmer fal Adryatyku, które jej przypominają świetne i bezpowrotnie stracone dni potęgi i blasku miasta na lagunach. Owiana poezją i otoczona fanatycznym niemal szacunkiem ludności, głosem dzwonów przypomina o swem istnieniu... Zaś na Madison Square życie płynnie rozhułkaną falą. Amerykańska Campanilla to nie zgrzybiały świadek dawnej świetności, ale twór najnowszej epoki, powstały wśród szalonego pędu yankeesów naprzód. Rozbrzmiewają tu głosy tysięcy ludzi, przebiegających wszystkie piętra nowożytniej wieży Babel; migają przed oczami dźwigi; słychać dzwonki telefonów i suche uderzenia klawiszy różnych „Remingtonów“ i „Underwoodów“. Istne państwo „business'u“, gdyż w domach tych nie mieszka się, a pracuje tylko.

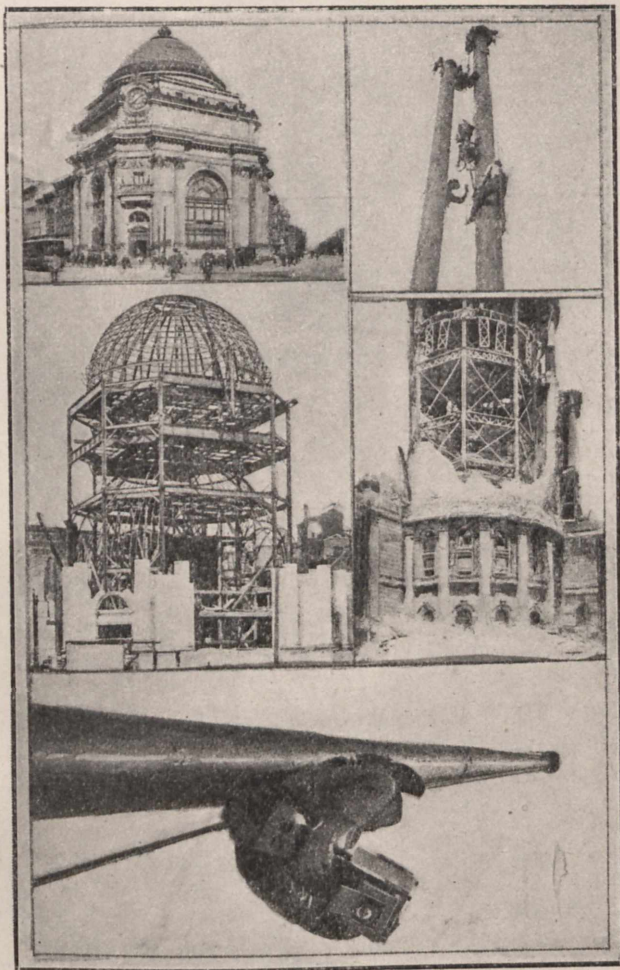
Fundamenty tego domu założono w październiku 1906 r. Szkielet żelazny zaczęto

wznosić w pięć miesięcy potem. Budowa posuwała się z igraszką amerykańską szybkością i cały gmach niemal, że zupełnie został wykończony na początku roku 1910. Pomimo olbrzymich rozmiarów całość odznacza

się smakiem i elegancją. Styl renesansowy wybrany przez konstruktorów, doskonale pasuje tu. Głównymi materiałami, które zastosowano do budowy, są: żelazo, stal, marmur, cement i beton uzbrojony. Fundament, zapuszczony w ziemię na kilkadziesiąt metrów, obejmuje prostokąt o powierzchni 750 metrów kwadratowych.

Każda stropowa wieża posiada olbrzymi zegar, zajmujący wysokość dwóch pięter, na odległości 107 metrów od ziemi. Średnica tarczy zegarowej wynosi 8 metrów, a wskazówki 4 metrowej długości wskazują godziny na cyfrach, mierzących więcej, niż

metr. Zegary te zajmują części 18-go i 19-go piętra. Powyżej widzimy balkony, przyozdobione wspaniałymi kolumnami. Na wierzchołek gmachu nasadzono latarnię, wysokości czterech naszych pięter.



1. Kasa oszczędności w Buffalo po wykończeniu. 2. Ustawianie podnośnika dla wciągania części metalowych. 3. Szkielet budowy kasy oszczędności w Buffalo. 4. Wzrost „City Hall” w San Francisco po trzęsieniu ziemi. 5. Fotografowanie „drapaczy” z wysokości 700 stóp.





1. „Woolworth Building” 45 pięter (625 stóp wysokości). 2. Wieża projektowana specjalnie dla urządzenia reklam świetlnych. 3. Drapacz” posiadający 48 pięter, wzniesiony na „Madison Square” w N.-Yorku. 4. Najoryginalniejsza fotografia „drapaczy” w N.-Yorku: widok z lotu ptaka (700 stóp wysokości).

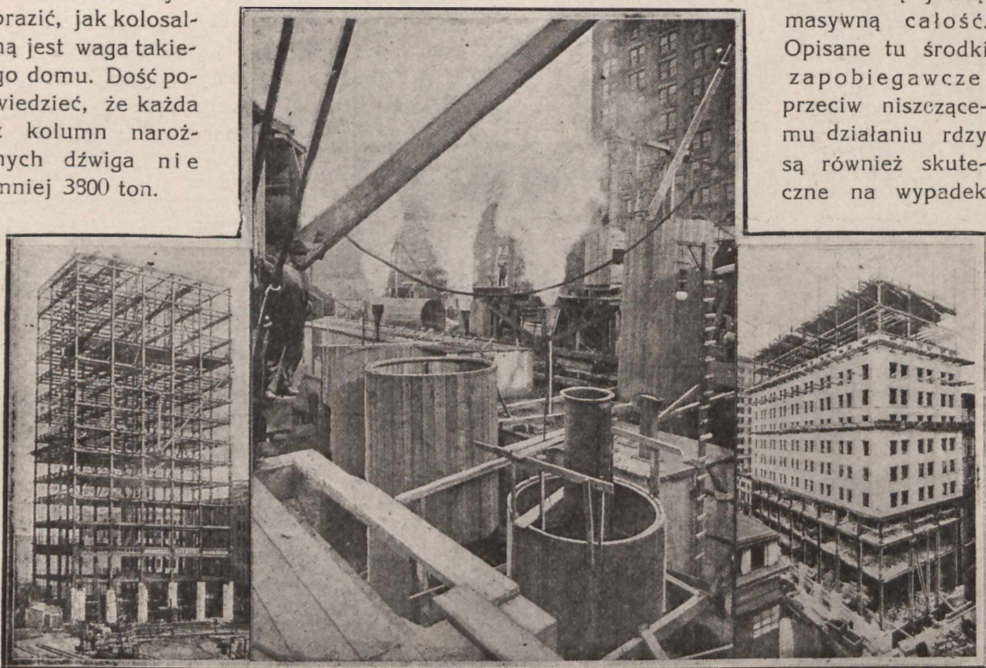


Dzięki umiejętnie wykonanym połączeniom całość przedstawia zupełne warunki bezpieczeństwa i opiera się skutecznie burzom i silnym wiatrom. Budowniczości obliczyli z wielką skrupulatnością tę olbrzymią konstrukcję, której wierzchołek znajduje się na wysokości 254 metrów od ziemi.

Wysokość ta jest rzeczywiście zdumiewająca. Mieszkańcy górnych pięter wieży ujrzą miasto takim, jakim ono wydaje się lotnikowi, bujającym w przestworzach. Łatwo można sobie wyobrazić, jak kolosalną jest waga takiego domu. Dość powiedzieć, że każda z kolumn narożnych dźwiga nie mniej 3300 ton.

kie kolumny, części pionowe wiązań, części podłogi i wogóle wszystkie miejsca, gdzie żelazo mogłoby zetknąć się z powietrzem zewnętrznym, owija się drutem stalowym, na który nalewa się zaprawy cementowej. Podobnie i wszystkie złączenia, czy to ześrubowane, czy znitowane, otrzymują powłokę ochronną z cementu. W ten sposób osiąga się zapelnienie wszystkich wolnych miejsc i szpar między częściami żelaznymi, które zostają związane ze sobą nierozłącznie

i stanowią jedną, masywną całość. Opisane tu środki zapobiegawcze przeciw niszczącemu działaniu rdzy są również skuteczne na wypadek



1. Szkielet metalowy „Metropolis Bank Building” w San Francisco (widok 4 paźdz. 1907 r). 2. Zakładanie kesonów przy budowie „drapacza”. 2. Oryginalny sposób budowania: części górne są wykonywane przed dolnymi.

Wykonanie takiego olbrzyma wymaga wielkich i zupełnie specjalnych ostrożności, które są nieznanne przy wznoszeniu zwykłych budowli.

Ogromne masy żelazne, wchodzące w skład „drapaczy”, muszą być np. starannie ochronione od rdzewienia. W tym celu powleka się wszystkie części metalowe szkieletu pewną farbą o pierwiastku cementowym. Po złożeniu rusztowania i po szczegółowym zbadaniu go, nakłada się jeszcze jedną powłokę takiej farby. Gdy ta wyschnie, wszyst-

pożaru. Amerykańskie olbrzymy, złożone przeważnie z marmuru i żelaza, nie boją się ognia. Groźniejszym dla nich wrogiem jest tlen, wywołujący rdzewienie metalu, ale z tej strony niema niebezpieczeństwa, gdyż, jak widzieliśmy, twórcy niebotycznych domów użyli pewnych środków ochronnych.

Przy budowie podobnych gmachów ogromne zastosowanie znajduje nowszy, ale bardzo obecnie już rozpowszechniony materiał budowlany, jakim jest cement uzbrojony, czyli żelbet. Jest to beton cementowy

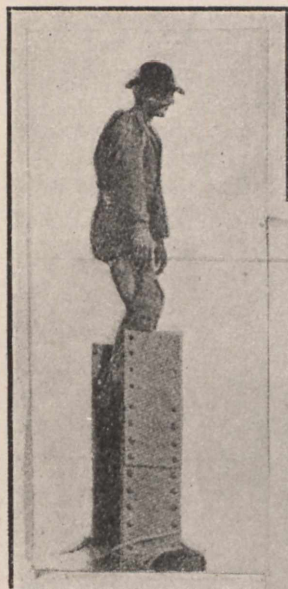


nalewany na odpowiedni, celowo obmyślony, szkielec żelazny. Wytrzymałość jego jest bardzo wielka. Podłogi i ściany w lokalach

„drapaczy“ są właśnie wykonane z żelbetu. Posadzki, wszelkie boazerje są tu wykluczone i za-

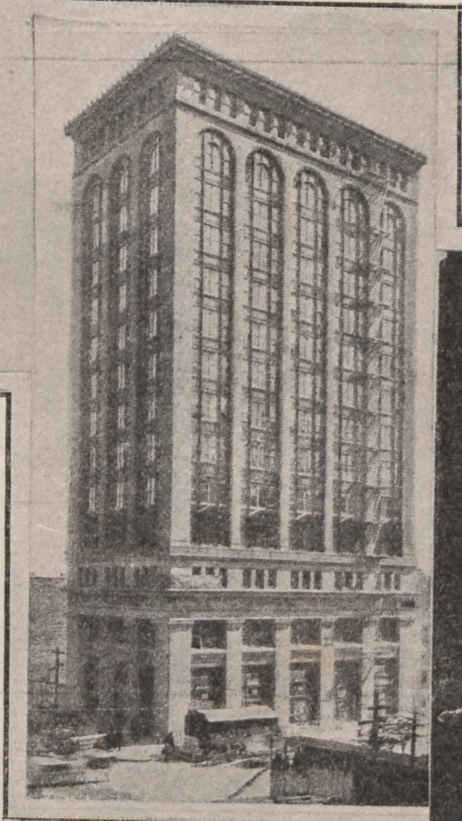
chodzące tylko do pewnych pięter; wreszcie „expressy“, obsługujące górne piętra od 25-go do 48-go. 48 pięter! Cyfra, która niewątpliwie wywrze silne wrażenie na niejednego Europejczyka, gdy ten wyobrazi sobie, że pewnego dnia, znalazłszy się na amerykańskiej ziemi, może zamieszkać na wysokości 240 metrów, i że w razie zepsucia się dźwigu zmuszonym będzie zrobić 1057 schodów, zanim dostanie się do swego „bocianiego gniazda“.

Nie pozabawionem jednakości również będzie zestawienie wysokości kilkunastu znanych gmachów. W szeregu tym znajdziemy i europejskie budowle,



*Robotnik, który nie zna zawrotu głowy.*

mienione mozaiką i ornamentacją gipsową. Budowniczowie amerykańscy uważają domy budowane w ten sposób za wieczne i niezłomne, wierząc, że mogą one przetrwać wieki na podobieństwo piramid egipskich, albowiem posiadają ich moc i stateczność.



*Gmach Metropolitan Bank Building (widok 10 lutego 1908 r.)*



przystają one imponować swą wysokością,

gdy je porównać z siostrzycami z za oceanu. Kolumna Vendôme w Paryżu 44 metr wysok. Panteon w Rzymie

*Przy jednej z części pionowych szkieletu brakuje jeszcze jednej nity...*

45 " "



Posąg Wolności w Now.-Yorku	46 metr. wysok.
Āīa-Sophia w Konstanop.	61 „ „
Campanilla w Wenecyi	98 „ „
Sobór św. Izaaka w Peters.	110 „ „
Park-Row Buildings w No- wym Yorku	116 „ „
Bazylika św. Piotra w Rzymie	122 „ „
Katedra w Strasburgu	123 „ „
„ św. Stefana w Wie- dniu	136 „ „
Piramidy w Egipcie	148 „ „
Katedra w Rouen	149 „ „
„ w Kolonii	157 „ „
Ratusz w Filladelfii	163 „ „
Pomnik Waszyngtona	169 „ „
Gmach Rady miejskiej w Now.-Yorku	170 „ „
Dom Singera	200 „ „
Dom z Madison Square	233 „ „
Dom T-wa „Equitable“	260 „ „

Na zasadzie tych liczb dochodzimy do przekonania, że „drapacze“ amerykańskie są najwyższymi budowlami na świecie, choć żaden z nich nie dorównywa wysokością wieży Eiffel, wznoszącej się, jak wiadomo, na 300 metrów od ziemi. Wieża ta długo jeszcze będzie rozbudzać nie tylko ciekawość turystów, ale i zainteresowanie świata naukowego, dzięki swej potężnej stacyi radiotelegraficznej.

W swoim czasie zresztą sami yankesi chcieli ją nabyć na własność w celach eksploatacyi handlowej oczywiście. Naród francuski kategorycznie oparł się temu i słynna wieża, niewątpliwie, zostanie na zawsze w rękach francuzów, stanowiąc jeden z najważniejszych „clous“ stolicy nadsekwankwskiej.

Opisany wyżej pobieżnie dom z Madison Square nie jest jedynym w swoim rodzaju. Nie mniej ciekawą konstrukcyę przedstawia gmach budowany obecnie przez Radę Miejską Nowego Yorku. Ma on mieścić wszystkie biura i wydziały. I tutaj możemy rzucić garść cyfr, imponujących swym ogromem. Wyobraźmy sobie olbrzyma o wysokości 103 metr. z 25 piętrami i wieżą pośrodku, której wierzchołek sięga na 170 metr. Podczas gdy fasada domu na Madison Square jest marmurowa, front ostatniego gmachu wykonano z granitu. Na wytworzenie szkieletu potrzeba będzie 26000 ton stali. Gdyby wyobrazić sobie, iż metal ten naładowano

na wozy kolejowe, to byłoby potrzeba 52 pociągów po 50 wozów każdy, by go przewieźć na miejsce.

Fundamenty sięgają na głębokość 54 metr. w głąb ziemi i zostały wykonane za pomocą 68 kiesonów.

Budynek zajmuje prostokąt o długości 116 i szerokości 53 metr.

8000 osób będzie mogło pomieścić się w „drapaczu“. Liczba ta stanowi ludność nie jednego naszego miasta powiatowego. Co zaś do kosztów budowy, to takowe są obliczone na 50 milionów franków!

Cytujemy tu niektóre tylko przykłady. „Drapacze nieba“ są liczne w Ameryce, a teraz szczególnie zaczynają się mnożyć gwałtownie.

#### GENEZA I RYS HISTORYCZNY „DRAPACZY“

Pewien z autorów francuskich, pisząc o „drapaczach“, zadaje sobie pytanie, czy w gmachach podobnego rodzaju należy szukać przejawu znanej ekscentryczności yankesów, czy też innej poważniejszej tendencji. Jeżeli zwrócić się do historii po rozwiązanie tej kwestyi, to należy przypomnieć, iż dążenie do budowli monumentalnych było zawsze charakterystyką epoki, zaznaczonej w bytowaniu narodów przez osiągnięcie wysokiego stopnia cywilizacyi. Dlatego też wspomniany tylko co autor zlekka zaznacza, że opierając się na podobieństwie faktów, możnaby przypuścić, iż amerykanie, stwarzając w swej ojczyźnie podobne olbrzymy, tem samem dają świadectwo o swej wyższej cywilizacyi. Charakterystyczny jednak szowinizm francuski budzi się w autorze, który śpieszy dodać ze sceptycyzmem, że z drugiej znów strony „drapacze“ mogą właściwie stanowić „une banale fantaisie“. Naszem zdaniem, postawiona tu kwestya rozstrzyga się w prosty sposób: ani chimera, ani też ambicya figurowania na złotych kartach historii nie popchnęły amerykańców do wznoszenia wielopiętrowych kolosów; czynnikiem decydującym były tu względy czysto praktyczne, którym yankesi ulegają w pierwszej linii.

Otóż największa ilość „sky-scraferów“ istnieje w dzielnicach handlowych wielkich miast. Gmachy te nie są właściwie zamieszkałe, a tylko w godzinach biurowych napełniają się mrowiem ludu pracującego, który musi pozostawać około nerwu życia przemysłowego. W tych to dzielnicach ceny



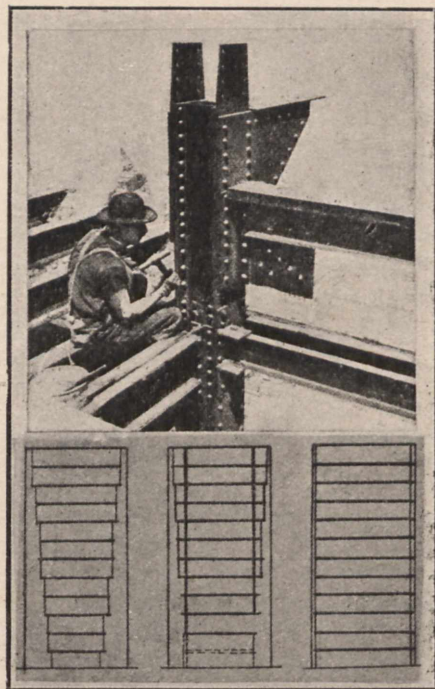
ziemi dochodzą do bajecznych rozmiarów. W wielu miastach rozwój dzielnic handlowych nie jest już nawet możliwy ze względu na brak miejsca. Ucząstek ziemi np. między Broadway i Wall-street w Nowym-Yorku sprzedano po 32000 franków za metr kwadratowy, czyli po 425 rubli za kwadratowy łokieć. Teren, na którym obecnie wznosi się „Flat-Building“ nabyto za fantastyczną wprost sumę 12 i pół miliona franków! Cóż więc dziwnego, że praktyczny yankes, nie mogąc posuwać się po ziemi, pomyślał o wzbiciu się w górę.

Oto najprawdopodobniejsza geneza „drapaczy“.

Poza tem istnieje jeszcze jedna okoliczność, której w znakomitej części Amerykanie powinni zawdzięczać możliwość zrealizowania swej ekspansji ku górnym sferom. Jest nią wytrzymałość budowli żelaznej 200 razy większa od wytrzymałości domu, wzniesionego z cegieł. Jest to bardzo ważne dla niektórych miast amerykańskich, nawiedzanych przez trzęsienia ziemi. Pamiętna katastrofa w San-Francisco dosadnie dowiodła, że konstrukcje żelazne posiadają pierwszeństwo przed innymi pod względem wytrzymałości. Podczas wspomnianej katastrofy wszystkie domy murowane zostały doszczętnie zniszczone, gdy tymczasem budynki żelazne oparły się skutecznie klęsce. Ciekawy jest wypadek, który zaszedł z Biblioteką Uniwersytetu Stanford: cały budynek został zamieniony w gruz, z pośród których wyzierała tylko olbrzymia wieża żelazna, a pozostała nietknięta. Zalety przeto konstrukcji żelaznej nie podlegają zakwestyonowaniu. Zadatkim mocy i stateczności „drapacza“ jest właśnie jego szkielet stalowy. Ściany zaś, które architekci amerykańscy nazywają charakterystycznie „curtain-walls“ (ściany-firanki), rzeczywiście nie są niczem innym, jak tylko firankami; celem ich jest osłonić wewnątrz lokalu, przyozdobić fasadę domu i ochronić żelazne uzbrojenie od wpływów atmosferycznych.

Amerykanie są tak niezbiec przekonani o niezniszczalności żelaza w budowlach, że stosują je nawet do domów względnie niskich. Przykładem takiej konstrukcji może służyć dom Kasy Oszczędności w Buffalo. Wreszcie historia powstania pierwszego

domu żelaznego wskazuje na intencje jego twórców. Impuls do budowy „sky-scrapers“ dał Amerykanom angielski budowniczy Paston, dzięki swej żelaznej, oszklonej hali „Palais de Cristal“, zaprojektowanej dla Wystawy Londyńskiej w 1851 roku. Konstrukcja ta, całkowicie wykonana ze stali i szkła, naprowadziła budowniczych amerykańskich na myśl zastosowania tego systemu w roku 1867 w Nowej Kaledonii. Ideą przewodnią wykonawców było właściwie zabezpieczyć domy od zgubnych wpływów, wywołanych



1. Praca na wysokości 120 metrów od ziemi. 2. Schematy, wyjaśniające sposób budowania olbrzymów amer.

przez trzęsienia ziemi, tak częste w tych okolicach. Próba na większą skalę był dom dziesięciopiętrowy, zbudowany w roku 1882 w Chicago przez L. Jenny'ego. W parę lat później Józef Wilson wykonał w Filadelfii „Drexel Building“, którego cechą charakterystyczną był sposób oparcia ciężaru licznych pięter na żelaznych kolumnach, umieszczonych wewnątrz murów. Pierwszą atoli konstrukcją żelazną ze ścianami firankami był „Tower



Building“, w Nowym Yorku z 12 piętrami. Twórcą jego był budowniczy Gilbert. Od tego czasu ostatnia metoda zrobiła ogromne postępy i jest często stosowana.

#### WYKONANIE I WYKOŃCZENIE „DRAPACZY“.

Załączone ilustracje dają kilka ciekawych szczegółów z budowy „drapaczy“. Widzimy tam np. rzeczy zupełnie nieznanne w Europie, które mogłyby ująć za niemożliwe do urzeczywistnienia w starym świecie. Taką np. jest metoda budowania, zastosowana przez architektów Clanton'a i Russels'a przy wznoszeniu gmachu „Metropolis Bank Building“ w San-Francisco. Mury górnych pięter, mianowicie wykończono przed wzniesieniem murów dolnych, co jest możliwym tylko przy użyciu szkieletu żelaznego.

Ten sposób wykonania budowy (naopak jest isticie amerykańskim. Podaliśmy również szematy, wyjaśniające metody konstrukcyjne, mające na celu zmniejszenie grubości murów, a temsamem uzyskanie więcej miejsca wolnego na lokale. Rysunek z lewej strony pokazuje urządzenie zwykłej konstrukcji, ze ścianami murowanymi o grubości, obliczonej na dźwiganie ciężaru samych murów, podłóg i szkieletu żelaznego. Na drugim szkicu mury są cieńsze, gdyż podłogi i szkielet podtrzymano za pomocą pionowego uzbrojenia metalowego. Trzeci rysunek wreszcie odnosi się do metody ostatecznej, która nie uznaje murów, a według której cała budowa wykonywa się z żelaza, jak to opisaliśmy już na innym miejscu. Wszelkie części murowane służą tu właściwie jako osłona, grają rolę podrzędną i posiadają bardzo małą wagę.

Zastosowanie konstrukcji wyłącznie żelaznej pozwala osiągnąć znaczne zaoszczędzenie miejsca. Na domu np. liczącym 20 pięter i posiadającym 35 metr. długości, a 18 metr. szerokości zyskuje się w ten sposób około 1300 metr. kwadratowych podłogi, co stanowi nadwyżkę w postaci 24 nowych biur. Stąd wniosek łatwy, że pod względem materialnym „drapacze“ są doskonałym źródłem dochodów dla właścicieli. Amerykanie obliczają zasadniczo, że dom w dziesięciu piętrach redukuje wartość terenu o 50%, a dom o dwudziestu—o 75%. Cyfry te są pogwowne. Oszczędność taka byłaby nie do pogardzenia w żadnym wielkim mieście, a cóż dopiero w dziel-

nicach „businessu“ Nowego Yorku, Chicago, i innych miast amerykańskich, gdzie ziemia sprzedaje się na wagę złota. Lecz nie tylko dla właścicieli nieruchomości okazuje się korzystnym system „sky-scrapec'ów“, ale i dla lokatorów, gdyż czynsz mieszkaniowy w tych domach jest znacznie niższy w porównaniu z cenami lokali w zwykłych nieruchomościach. To uwzględnienie interesów dwóch przeciwnych sobie ekonomicznie klas ludności jest niewątpliwie jednym z najważniejszych motywów, sprzyjających mnożeniu się „drapaczy“ w Ameryce północnej.

Najkosztowniejszą bodaj pozycją przy budowie tych kolosów są fundamenty. W wielu wypadkach koszt ich stanowi połowę ceny całkowitej konstrukcji. Tłomaczy to się tem, że fundamenty muszą być opuszczane tak głęboko, aż robotnicy natrafiają na skałę, na której musi oprzeć się kolosalny ciężar metalowego szkieletu. Zazwyczaj używa się w tym celu kiesonów. Niezbędnym elementem dla złożenia i wykończenia „drapacza“ jest odpowiedni zastęp rzemieślników. Praca na tej niebotycznej wysokości wymaga nietylko dzielnego fachowca, ale i zręcznego akrobata, posiadającego ogromny zasób zimnej krwi i nie znającego zawrotów głowy. W Ameryce zresztą w klasie robotniczej dużo znajdzie się podobnych ludzi. Gorączkowy sposób wykonywania pracy, szalony ruch uliczny, konkurencja na polu zarobkowania, wreszcie liczny element napływowy, traktowany jako „chair à canons“—wszystko to przyzwyczaiło robotnika amerykańskiego do ustawicznego ocierania się o niebezpieczeństwo. Hasło „Vae victis“ w Ameryce wprowadzone jest w życie. Dowód niezwyklej zręczności i zimnej krwi dał również niejaki George Nealy, przezwany „The human fly“ (człowiek-mucha), który w celu zdjęcia fotografii „drapaczy“ z lotu ptaka, zawiesił się za pomocą specjalnego urządzenia w nader niebezpiecznej pozycji u wierzchołka gmachu Singera na wysokości 700 stóp. Był to rekord oryginalności w dziedzinie fotografii—nawet w Ameryce. Przeciąg czasu, potrzebny do wzniesienia „drapacza“, zależy właściwie od trudności, napotykanych przy kopaniu fundamentów, gdyż ustawienie uzbrojenia metalowego wykonywa się z nadszybką szybkością. Można zacytować np. budowę gma-



chu dziennika „Baltimore American“. Szkielet dwunastopiętrowy stanął w ciągu 5½ miesiąca. Żelazny szkielet innego olbrzyma „New Phelan Building“ w San-Francisco wzniesiono tylko w ciągu 65 dni!

Tyle o części zasadniczej konstrukcji. Wykończenie ostatniej również odbywa się z całą starannością. Kolosy te bynajmniej nie są monstrami. Strona estetyczna została uwzględniona najzupełniej przy ich budowie. Harmonii linii zewnętrznych odpowiada właściwa ornamentacja i odrobienie wewnętrzne.

Mieszkańcy „sky-scrapers“ mają zapewnione wszystkie wygody, jakie współczesna technika może ofiarować.

Sutereny „drapaczy“ przedstawiają istne stacye siły mechanicznej; silniki parowe, cały zastęp maszyn pomocniczych i przyrządów ma na celu zadośćuczynienie wymaganiom higieny, bezpieczeństwa i komfortu.

Potężne pompy służą do podnoszenia wody na najwyższe piętra, a w razie pożaru działają jak sikawki. Urządzenie elektryczne dostarcza prąd do setek lamp i napędza szereg dźwigów. Kotły posyłają gorącą wodę do łazienek i umywalni; inne znów maszyny mają za zadanie odświeżanie wody do picia. Istnieje również urządzenie do odświeżania powietrza na wszystkich piętrach w czasie letnich upałów.

Oto w głównych liniach anatomia i fizjologia „drapaczy“ amerykańskich.

Gdybyśmy chcieli uwzględniać tylko stronę ekonomiczną przedsiębiorstwa budowlanego, to oddawna w Europie należałoby odważyć się na budowę podobnych gmachów. W stanie obecnym rzeczy próby podobnego

rodzaju nie mogą być urzeczywistnione ze względu na istniejące w różnych państwach przepisy, które ograniczają wysokość domów.

Dla Paryża np. oznaczono 24 metry, jako największą wysokość dopuszczalną, z zachowaniem w dodatku pewnych warunków specjalnych. W państwie Rosyjskiem samorządy poszczególnych miast określają wysokość domów mieszkalnych.

W Warszawie władze przyjmują zazwyczaj za zasadę przy zatwierdzaniu planów nieruchomości, by wysokość domu nie przekraczała wysokości ulicy. Ścisłe sformułowanego przepisu o maksymalnej wysokości niema. Dowodem tego może służyć wybudowanie wysokiej kamienicy przez T-wo telefonów Cedergrën'a.

Zresztą ściśle biorąc, o ile chodzi szczególnie o domy mieszkalne, to nadawanie ostatnim bardzo znacznych wysokości nie należy uznać za rzecz pożądaną, ani ze względów higienicznych, ani też ze względów na bezpieczeństwo.

Podwórza domów wysokich otrzymują nadzwyczaj skąpe ilości światła słonecznego. W klatkach schodowych powietrze jest złe; w czasie pożaru wreszcie środki ratunkowe, pozostające w rozporządzeniu straży ogniowych, a obliczone na sferę działania o wiele skromniejszą, okażą się z pewnością niedostatecznymi.

Tymczasem najwyższym domom naszym bardzo daleko jeszcze do amerykańskich „drapaczy nieba“, których bynajmniej nie można uważać za produkt wybujałej fantazyi, a przeciwnie, za celowo obmyślane i nader udatnie wykonane dzieło.

*Inż. Zygmunt Kacprowski.*



# BOHATER

Godzina drugiego śniadania w kolejowej remizie. Młoty, pilniki, tokarnie stoją nieruchome.

W olbrzymim budynku, pełnym klatek na parowozy, rozchodzących się jak promienie ogromnej gwiazdy od środkowej tarczy obrotowej, robotnicy siedzą, żując chleb z grubymi plasterami baraniny i jaja na twardo. Siedzą pojedynczo lub grupami — w usmolonych okryciach, z obnażonymi głowami, oparci łokciami na kolanach, poważnie milczący i jedzą powoli, z rozmysłem...

Pod nogami ich czarna zaoliwiona podłoga; nad głowami nieprzebity mrok gęstego dymu lokomotyw. Okna budynku tak zakopcone, że przepuszczają zaledwie słaby odbłask światła słonecznego z zewnątrz. Naokoło stoją miedziane dzbany z oliwą, puszki smarów i zatłuszczone ławki. Na powierzchni wody w studniach, pod lokomotywami, pływa gęsty, zielonawy kożuch z kąpiącej oliwy, Ziemia zarucona odpadkami tłuszczów. Zdaleka dochodzi odgłos sapania, stuku i zgrzytania z przedstawiania relsów na linii.

W oddziale pasażerskich parowozów, jedno okno wyróżniało się od innych — szerokie, wysoko położone, bez jednej plamy. Przez nie wpływał jasny potok światła, ożywiający olbrzymią, pasażerską lokomotywę, z wypisanym „№ 6” na mosiężnej tarczy. Długi, smukły, wyniosły był ten potwór, zbudowany do walki i stawiania oporu huraganom. Wszystkie jego części mosiężne — każda śrubka i sztabka, starannie oczyszczone, połyskiwały — świecąc się jak uprzęż koni obsługiwanych przez królewską służbę.

W pobliżu lokomotywy stał człowiek — milczący i zajęty, z bujnymi jasnymi wło-

sami, niebieskimi oczyma, z twarzą i obęściem chłopca, koścista postać, wydłużona szeroka w piersiach, z wielkimi rękoma — trochę ciężka, z wybitnym pięknem wiejskiego pochodzenia. Przed młodzieńcem stały napięte na blejtramic z prostego drzewa, dwa płótna oparte na drabinkach. Jeden obraz, zupełnie wykończony, malowany olejno, przedstawiał parowóz „№ 6”. Drugi zarysowujący się zaledwie i nabierający dopiero barw pod pędzlem artysty, był również wizerunkiem lokomotywy; lecz gdy pierwszy przedstawiał ją stojącą nieruchomo w remizie, na drugim widać ją było rozpędzoną w samym środku nocy w okolicy pełnej pagórków i drzew, gdzie na zakręcie drogi majaczył staroświecki drewniany most, spinający dwa brzegi rzeki.

Nagle rozległ się sapiący oddech, a jasnowłosy artysta, zatopiony w tajemnicach światła i cieni, obejrzał się żywo.

Tuż za nim tegiej budowy człowiek, z twarzą o grubych rysach i gęstym zarostem, z szerokim, pokrytym bruzdami czołem wpatrywał się w bliźniacze obrazy. Trzymał kapelusz w ręku, a jedwabną chustką obcierał pot z potężnego oblicza. Głowę jego pokrywała nieprzebita gęstwiną kędzierzawych włosów, nieokreślonego koloru. Oczy niebieskie, jak oczy malarza, wydawały się dziwnie błyszczące i piękne wśród zmarszczek i brwi krzaczastych.

— Sądzę, że to znakomity obraz? — wygłosił stanowczo,

Artysta oniemiał. W pierwszej chwili zdumiał się — a gdy poznał kto mówi, przeląkł się, bo — tak jak wszyscy jego towarzysze odczuwał nieuzasadnioną obawę w obecności tego człowieka z kędzierzawymi włosami i niebieskimi oczyma. Człowiek ten nazywał



się Kerlew Crawford—zwany najczęściej krótko „Starym Kędziorem“ przez całą armię podwładnych—ale za oczy.

„Stary Kędziór“ był mi mniej, ni więcej, tylko prezesem całej linii drogi żelaznej. Dobił się tego stanowiska zaczawszy od posady smarownika.

Domorosły geniusz, który nie zaniedbał swych pierwotnych zalet, był zawsze najgorliwszym wszechobecnym i najwytrwalszym ze wszystkich urzędników.

Od jednego do drugiego krańca linii nie było człowieka, któryby go nie znał z widzenia, a tysiące odczuwały uścisk jego sprawnej ręki.

— Skąd się tu wzięłeś?

— Jestem tu zawsze w te dni, gdy moja maszyna stoi w remizie—odrzekł jasnowłosy malarz.

— Twoja maszyna? Czy jesteś na służbie Towarzystwa?

— Tak, proszę pana. Jestem palaczem na maszynie № 6.

Zmarszki i brwi *Starego Kędzióra* ściągnęły się tak, że zaledwie było mu widać oczy.

— Tylko amatorem, panie.

— Więc jesteś tylko malarzem — amatorem?

— A jak się nazywasz?

— Byers— Dutton Byers.

— Byers? Znałem człowieka, który tak się nazywał. Zginął na swej lokomotywie, podczas starcia się pociągów w Cedar Curre.

— To był mój ojciec, panie.

— Nie może być! — wykrzyknął *Stary Kędziór* wpatrując się uważnie w młodzieńca, a poważna jego postać oblewa się wyrazem zadumy.

Tak — dodał po chwili — podobno jesteś do tamtego Byersa, najlepszego maszynisty jakiego mieliśmy kiedykolwiek w służbie. Gdybym był przyjrzał ci się uważniej, byłbym dostrzegł to podobieństwo. Pamiętam dobrze śmiałą i wesołą twarz twego ojca. Biedak, mógł być się ocalić, gdyby był zeskoczył z maszyny — tak jak palacz...

*Stary Kędziór* przyglądał się dalej nieukończonemu obrazowi.

— Niepoprawny rysunek — zrobił uwagę — ale jest w nim życie. Ten dym ciągnie się długą poziomą smugą za kadłubem maszyny... Albo te pędzące szybko koła i groźny blask paleniska błyszczącego w cie-

mnościach. Zdaje się, że słyhać oddech maszyny, że czuje się jej kołysanie, turkot jej kół na torzel. Czy wiesz chłopcze—mówił zbliżając się do malarza—że i ja miałem syna i także artystę... Umarł zeszłego roku na suchoty, a poszło to tak prędko, że choć przyleciałem z drugiego końca linii, pociągiem który nie zatrzymuje się nigdzie, umarł, zanim zdążyłem do domu... Mój chłopiec rysował doskonale, ale zdaje mi się że malować nie umiał tak, jak ty... Zkąd jesteś?

— Urodziłem się w okolicy górzystej, za mostem Ball.

— Doprawdy? A matka twoja żyje?

— Żyje panie.

— I mieszkasz z nią razem?

— Tak — o ile jestem w domu.

— A gdzie mieszkasz?

— Także pan zna ten wielki, szary młyn w pobliżu mostu Ball?

— Znam.

— Może pan przypomina sobie mały zielony, drewniany domek na brzegu za rzeką, tuż przy młynie?

— Przypominam sobie doskonale.

— Matka i ja tam mieszkamy.

— Mój Boże? — szepnął, namyślając się, *Stary Kędziór*.—Ileż ja razy polowałem w tych lasach, ileż razy łowiłem ryby, jeździłem łodzią i pływałem po wodach tej rzeki! Ileż razy przechodziłem w pobliżu waszego domu! Jednej nocy, w czasie wyprawy na połów ryb, nocowałem w tym młynie. Nie wiem, czy jest na całej ziemi przyjemniejsza miejscowość od okolic mostu Ball... Powiedz mi chłopcze; chodziłeś ty kiedy do szkoły rysunkowej?

— Nigdy, panie...

— A czy myślałeś kiedy o tem?

— O! myślałem nieraz, ale...

— Odezwała się gwizdawka, w remizie zawrzało życie, a Dutton Byers odłożył z pospiechem obrazy i pędzle... Przybiegł ktoś, wzywając prezesa w pilnej sprawie, a kiedy malarz artysta obejrzał się, zobaczył tylko plecy *Starego Kędzióra*, przedzierającego się szybko przez labirynt polyskujących parowozów, wśród tłumu zasmolonych ludzi.

\* \* \*

Noc zapadła na moście Ball—noc po dniu rzadkim, szczęśliwym dla Jenny Byers, matki Duttona Byersa, malarza-artysty. Z tygo-



dniowej wycieczki na targ, z masłem i jajami, wróciła niosąc pieniądze, które uzupełniły sumę, zbieraną od lat dziesięciu. Srebrne pieniądze, ciulane potrosze, zmieniała na papiery i układała między okładki starej biblii. Bo pani Byers, mimo że wyglądała młodo i ubierała się starannie, była kobietą dawnej daty—kobietą, która uważa świętą księgę jako najbezpieczniejsze schowanie dla owoców uczciwego trudu i pracy.

Pani Byers, uśmiechając się dziwnie słodko, zamknęła wielką księgę, położyła ją na wysokiej półce w rogu pokoju i wróciła do oświetlonego lampą stołu, na środku pokoju.

— A teraz — szepnęła — czas już na wielką niespodziankę. Powiem wszystko Duttonowi, gdy jutro przyjdzie do domu...

Żywe rumieńce zarbarwiły jej twarz, błada oddawna.

Postać jej, w skromnej sukni wysmukła była, twarz dalikatna lecz stanowcza, a oczy ciemniejsze od oczu syna.

W tej owdowiałej matce utalentowanego syna, znać było silny charakter, umysł myślicy, silną wiarę, zdolność do poświęceń, rozważę i rozum sprawiedliwości, naturę dumną i wrażliwą, lecz wrażliwą na wszystko co piękne, wzniosłe, sprawiedliwe.

Oszczędności z lat dziesięciu!

Nakoniec jej chłopiec będzie mógł porzucić służbę na kolei... Jakież to było dla niej

zmartwienie, jaki niepokój mიაł jej sercem, odkąd obrał sobie ten zawód.

— Prędzej czy później, Duttonie — mówiła mu—każdy kto służy na kolei, znajduje śmierć lub kalectwo.

— Ach! nie, matko, tylko niektórzy, wypadkowo... Nasz kawałek gliniastej roli, nie może nam dać utrzymania. Zrobiłaś dla mnie więcej, niż mogłaś. Ja także muszę wziąć się do pracy. Będę się starał nie przerywać malowania. Może kiedyś ludzie

zaczną kupować moje obrazy, a wtedy wróczę do domu i będziemy żyli szczęśliwie, z tobą — której z awdzięczam wszystko, — z tobą, która jesteś dla mnie droższą, niż moja własna dusza... Zapamiętaj to sobie, matko! Postanowiłem niezłomie, że dopóki stanieżycia, trwać będzie między nami to złote ogniwo, które nas



Wysięk skrzepił jego myśli.

łączyło przez tyle lat w tym domku, przy moście Ball...

Teraz jej chłopiec będzie mógł opuścić kolej. Teraz—dzięki jej skromnym oszczędnościom, może on sobie obrać inną drogę, poszukać na świecie szczęścia!

Spojrząwszy przy małym świetle lampy na kominek, zobaczyła pani Byers, że wskazówki zegara zbliżają się do dziesiątej. A punkt o dziesiątej każdej nocy pociąg Duttona przelatywał jak meteor przez most Ball. Dutton pozdrawiał zawsze w przeje-



zdzie matkę, tak, jak zwyki był dawniej czytać jego ojciec. W owych czasach, czekała na przejście pociągu nietylko piękna, wysmukła kobieta, ale i mały, przejęty podziwem chłopczyna. Gdy parowóz zbliżał się do mostu, otwierały się szeroko drzwiczki paleniska i czerwony blask oświetlał na chwilę zapyloną, uśmiechniętą twarz, a silna muskularna ręka robiła w zmroku gest powitania. Lecz teraz to oblicze znikło na zawsze z czerwonej czeluści ogniska, a zamiast niego ukazywała się czerstwa, młoda twarz, pod czupryną jasnych włosów. Lecz pan-Byers, oprócz tej młodzieńczej twarzy widziała zawsze coś więcej: za nią—wyraźniej nawet niż ongi—ukazywała się jej co noc, i tamta druga twarz, starszego człowieka...

Zagasiwszy lampę, pani Byers poszła do otwartych drzwi i stanęła z obnażoną głową w miłym cieple letniej nocy. Na szczycie pobliskiego pagórka, rosło drzewo bukowe o grubym pniu.

Samotna kobieta stawała zawsze pod niem.

Trawa pod jej stopami szeleściła dziś sucha i pożółkła. Liście buka i innych drzew naokoło poskręcały się i zczerniały od palących promieni słońca. Poniżej płynęła rzeka wlewająca się w głęboki staw przy młynie, a w jej głębi odbijały się iskrzące gwiazdy. Łącząc światła niebieskie z zatopionemi w cieniu wodami rzeki, posępny i malowniczy, wspinał swe ramiona most Ball, potężny i romantyczny zabytek przed-stalowej epoki.

Po drugiej stronie rysował się niewyraźnie wysoki, szary młyn z olbrzymiem, nieruchomem kołem, wśród melodyjnego szumu i pluskania wody w nocej ciszy.

Wszystko to było niewymownie drogie dla Jeanny Byers: Trawa, liście szemranie wody wszystko mówiło jej o szczęśliwych latach młodości, budziło dawne wspomnienia. Tu kochała swego męża odważnym sercem. Tu odkryła w swym chłopcu talent artysty. Tu siadywał on przy niej jako mały chłopczyna, wpatrując się w wodę i w niebo, śledząc lot ptaków, zwracając jej uwagę na piękno przyrody, którego ona sama nie zauważała...

Dziwny i dziki zarazem chłopiec.

Gdy się znużył patrzeniem i rozmową, biegł w lasy, skacząc jak zestrachany jelo-

nek, a potem wracał rozpromieniony, śmiejący, z odłamkami gałązek we włosach, podrapany na twarzy. Zrzucił ubranie i wskakując na słup, dawał „nurka“ w głębinę.



Serce matki omdlewało z obawy; ale gdy chłopiec stopniowo nauczył się wiosłować i pływać w zwykły sposób, i na plecach i stojący i nurkować, uspokoiły się jej obawy, a powstał tylko zachwyt nad jego zręcznością i siłą.

Pani Byers otrząsnęła się z marzeń, przypomniawszy sobie, że dziesiąta musiała już minąć.

Co się stało z pociągiem Duttona?

— Nic — pomyślała. Spóźniał się już nieraz.

Wpatrywała się spokojnie w niewyraźne zarysy młyna i wodę odpływającą wodospadem ze szluzu, gdy zwróciły jej uwagę jakieś dziwne, błędne ogniki. Ukazywały się zrazu na jedno mgnienie; pomyślała, że to świętojańskie robaczki, ale zjawily się na nowo, już większe i mniej ruchliwe. Powiększała się przestrzeń zajęta przez nie. Może robotnicy schodzą się z „latakami“. Na ciemnej masie mostu zajaśniały liczne świetlane punkty... Za wodą, w oczach Jenny Byers, rozwinęła się wstęga jaskra-



wo czerwonego światła. Przez otwory mostu zarysowały się drewniane ściany młyna. Wodospad zaiskrzył się od blasku płomieni. Słychać było huk spadającej wody i inny od-

odwracając oczu od toru. Czy widzisz lunę tam, nad drzewami, za łukiem?

Dutton wpatrzył się chwilę we wskazanym kierunku, a potem rzucił szufłę i wskoczył na



*Każda chwila wydawała się godziną.*

głos: jakiś szum, trzaskanie—huczenie niby nadchodzącej burzy.

Pani Byers stała jak przykuta w miejscu, oniemiała, rozglądając się błędnym wzrokiem naokoło.

Wszystko przybrało złowrogi, odmienny wygląd.

Drzewa, wzgórza, woda, powietrze nawet—zabarwiły się rubinowo.

Rozległ się stłumiony jęk, a potem krzyk rozdzierający i na korzenie wielkiego buku upadła nieruchoma postać.

\* \* \*

Dutton-Byers nasypał węgla w olbrzymie palenisko „№ 6“, zatrzasnął ciężkie stalowe drzwiczki i stał na środku tendra, z szufłą w rękę.

Silnie spóźniony skutkiem pęknięcia obręczy nocny „expres“ gnał jak szalony, dla odzyskania straconego czasu.

Z rykiem i szumem. „№ 6“ przelatował jak strzała tunele i ciemne przepaście.

— Dutton!—zawołał nagle maszynista, nie

stos węgla leżący na tendrze. Górując teraz nad budką lokomotywy, walcząc z wiatrem wyjącym nad głową, by go nie zepchnął na ziemię, przysłonił oczy rękoma i zmarszczywszy brwi przyglądał się bacznie zjawisku.

— Niech mnie licho porwie, jeżeli wiem co to znaczy — odrzekł, wskakując na platformę obok maszynisty.

— Wygląda to jak luna nad miastem — zrobił uwagę maszynista.

— Tak, ale tam niema miasta. Dojeżdżamy do mostu

„№ 6“ Ball.—W niespełna minutę lokomotywa zatoczyła łuk i wjechała na linię prosto wiodącą dorzeki. Jednocześnie, ręce maszynisty machinalnie spadły ciężko na regulatora.

Wstrząśnienie—uderzenie—krzyk... Zdawało się, że parowóz biegnie bez pamięci naprzód... Pociąg podwoił chyżość biegu. Rozdzierający uszy trzask wydobywał się z pod ślizgających się błyskawicznie kół, stukających zapamiętane o relsy. Szprychy kół stękały, jakby się miały rozpaść na drzazgi. Kawały węgla staczały się rozbijając o dno tendra. Kurz lecący z boku, zasypywał budkę maszynisty. Powietrze tak przepelnione było kurzem i pyłem węgla, że stojący na lokomotywie z trudnością mogli widzieć drogę przed sobą, jak w czasie zadymki. Ponure błyski przerzynały chwilami tuman kurzawy...

W oka mgnieniu wyjaśniła się zagadka, nie pozostawiająca żadnego złudzenia: to most Ball—od końca do końca—był jednym morzem płomieni.

Dutton Byers poskoczył ku oknu.

Wychyliwszy się ujrzał nie tylko płonący



most, ale po prawej stronie rysujący się na tle ognistem, walący się szkielet młyna i i poczerniałą spaloną trawę między nim, a mostem, z kępkami płonącego torfu.

— Skacz! — krzyknął maszynista.

Zdawało się, że ten widok rzucił jakiś czar na młodzieńca.

— Skacz! — odezwał się poraz drugi.

Dutton ani drgnął. Starszy towarzysz, spojrział na niego z zadziwieniem i litością.

— Dutton! Czemu nie chcesz zeskokczyć?

Ani słowa odpowiedzi—żadnego ruchu.

Maszynista schwytał palacza za ramiona i usiłował ściągnąć go z jego stanowiska. Ale silna, wysoka postać ani drgnęła.

— Dutton! — krzyknął z rozpaczą, drżącym głosem maszynista — zrobiliśmy co było w ludzkiej mocy! Skacz.

Może być, że jakiś inny głos mówił jednocześnie młodzieńcowi mówił, o podobnej chwili w dalekiej przeszłości. Może być—że w tym wyrocznym momencie, jego myśl, jego wolę, zahypnotyzowało wspomnienie podobnej katastrofy w Cedar Curve, kiedy *tamten* nie chciał opuścić swego posterunku.

W wąskim okienku ukazał mu się inny obraz, jedyny na świecie. Czepiał się go, jak się czepia swej łodzi żeglarz miotany burzą—jak jasnowiedzenie i wiara, zakorzenie w duszy, czepiają się Wiekuistej Prawdy, gardzą ziemską klęską i groźbą niebezpieczeństwa.

— Skacz!

Było to już ostatnie rozpaczliwe wezwanie towarzysza... Mignął cień na tle płomieni—maszynista wyskoczył. Dutton zrozumiał, że jest już sam — że wszystko od niego tylko zależy. Poczucie odpowiedzialności zmąciło mu na chwilę umysł. Pochwycił się za głowę obu rękoma... Ale wnet otrząsnął się jakby odpychał od siebie jakieś wrogie widma. Wysiętek skrzepił jego myśli. Oczy postradały wyraz bolesnego osłupienia—zapłonęły ogniem i stanowczością. Jak iskrą elektryczną wstrząśnięty, zrzucił z siebie Dutton Byers ciężar rozpacz i przerażenia. Jednym skokiem dostał się na miejsce maszynisty i chwycił regulator. Wypuścił parę—z szeroko otwartej gardzieli Nr 6 wydarł się ryk potężny i parowóz wpadł w płonące czeluści mostu Ball!

Ostatnia stawka zrozpaczonego gracza.

Skulony na siedzeniu, z zaciśniętymi ustami i zamkniętymi oczyma, trzymając konwulsyjnie ręce na regulatorze, czekał niewzruszony co dalej nastąpi. Płomienie buchały w około szyb—z przodu i z tyłu. Pelzające ognie, rozstępując się przed pędzącym pociągiem, osmaliły brwi i włosy, przypiekły twarz i ręce, przypaliły kurtkę palacza. Wszystko kręciło się i kołysało. Uchyliwszy powieki zobaczył druty telegrafu poskręcane, spadające i łamiące się na kawałki, pod działaniem płomieni i gorącego dymu. Wierzchołki buków w pobliżu toru kolejowego, zamieniły się w płonące pochodnie. Rozpalone głównie spadając z sykiem, wyrzucały w górę strumienie wody. Czarno-siny dym rozbijał się gęstym obłokiem, osłepiając oczy—dławiąc w gardle i nozdrzach, tamując oddech w płucach. Każda chwila wydawała się godziną—wiekiem całym. Może największym szczęściem byłoby spaść do rzeki?

Ale zamiast dać nurka w wodę — pociąg zapadł w cudowny spokój i chłód rokoszny. Straszliwe odgłosy oddaliły się ucichły stopniowo, rozwiane jak chmury, gdy promień słońca je rozegna. Ogień już nie huczał za szybami, dym już nie wpływał do budki, nie chwycił za gardło Duttona... Młodzieniec podniósł się na siedzeniu i obejrzał nokoło...

Po lewej stronie czerniały posęprze lasy. Po prawej leżała cicho, śpiąca w świetle gwiazd dolina... Dutton Byers potem puścił w ruch hamulce.

Ostatnie wagony minęły już morze płomieni...

Pociąg ocalał!

\* \* \*

— Tak się cieszę, że pani już zdrowsza! — zawołał „Stary Kędzior“ zwracając rozpromienione oblicze ku wymizerowanej twarzy Byers. Przybyłem umyślnie w odwiedziny pani—do pani i do twojego jasnówłosego chłopca, który wzruszył cały świat—swoim czynem na moście Ball. A czy pani wie o składce dla Dutona Byersa? Zebrało się już tysiące. A bez względu na to jaka suma się zbierze, ja dodam drugie tyle. Nie! niech mi pani nie dziękuje... Niech nic nie mówi! A nadewszystko, niech pani nie płacze!..



# Fale

## I.

Fala bije za falą... zda się, jednakowe  
I gnane jedną wołą... Zda się, wciąż te  
[same...  
W ponadbrzeżnych z granitu skał niezłomną  
[bramę  
Uderzają ich głowy zwichrzone i płowe...

Do ich skał smętnych wiatr ma wtóry swe  
[gotowe,  
I niebo im złocistą daje co dnia ramę  
Wszystko w koło niezmiennie. Skały tworzą  
[tamę,  
A burzy pomruk głuszy ich namiętną mowę.

Choć wie każda, że wkrótce bezimienna  
[zginie,  
Że rozplynie się w nicość jej burzliwe życie,  
Chcąc skruszyć zimny granit w ostatniej  
[godzinie,

Ku swej śmierci niechybnej nieprzytomna  
[płynie...  
Płynie w szale zniszczenia o zmierzchu  
[i świcie,  
Całując w gniewie granit niezblagany skrycie...

## II.

Uciszyło się morze... Gra złoto na fali,  
I na harfie zachodu... Niebo znów bez chmury.  
Zmilkł wreszcie zwiastun burzy — wiatr  
[głuchy, ponury,  
Już wścieklemi skrzydłami o wodę nie wali.

Lecz nagle—znów powraca... Zatapia pazury  
W grzywie wody struchlalej— i szarpie... A  
[w dali,  
Niebo widząc, że zachód tak krwawo się pali,  
Ciągnie za kotar nocy niewidzialne sznury!

Lecz morze pręży rokosz, w szal wprawiają  
[gromy!  
I woli ryczeć z bólu, cierpieć w mocy złego,  
Woli duszę rozszarpać—i poznać widomy

Boga gniew, co nim wstrząsa — niż wzywać  
[jasnego  
Blasku gwiazd, co rozbitków od złej śmierci  
[strzegą—  
Wiodąc dalej swój żywot spokojny... zni-  
[komy...

*Zuzana Rańska.*



## Ośmset kilometrów w Afryce środkowej

Hr. Aleksander Wodzicki należy do tych, którzy wyczarowali sobie cudny sen walki bohaterów z otaczającą przyrodą, a więc nie zwlekając, zapragnął go wreszcie zamienić w czyn. Nie wystarczyły już rodzinne pola i bory, pierś zapragnęła szerszego oddechu, oko większej perspektywy. W skupieniu i ciszy przygotowuje się do tej łabędziej pieśni swego myśliwskiego żywota, zmawia się z bratem i staje na tem, że jada szczęścia próbować.

Głowa pełna marzeń, serce w otuchę, jak w pancerz zakute, pieniędzy nie brak, a więc jazda w drogę. Do pomocy bierze się z domu służącego i wiadomo kiedy, co i jak — jesteśmy na okręcie odpływającym na tropikalny brzeg czarnej krainy bajek i przygód. Zaczyna się poemat — niczem tysiiąc i jedna noc.

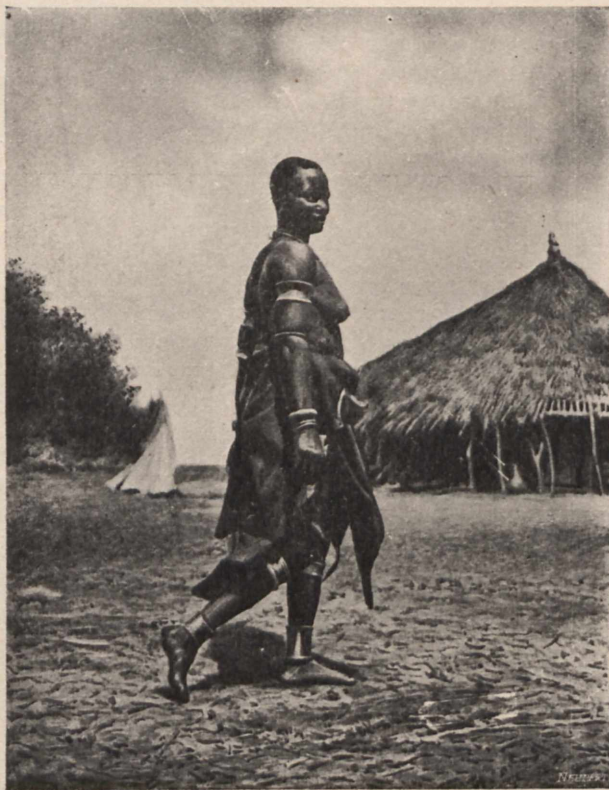
Jadą na trzy miesiące trudów „wojennych“, na trzy miesiące walk z dzikim zwierzem, z przyrodą samą. Już im brzmia w uszach, kiedyś słyszane po zwierzyńcach poryki lwów, majaczą w oczach błyski tygrysich ślepiów.

### W NEAPOLITAŃSKIM PORCIE

Już utonęły ostatnie rubiny zachodzącego słońca, na morskiej głębinie skrzyły się tylko blade światła na pobrzeżu, gdy „Windhuk“ podniósł swoją kotwicę. Była 11-a wieczorem. Głucho zawyła syrena. Lekkie drżenie przebiegło wzdłuż kadłuba okrętowego, zaskrzypiał łańcuch zwijany na bloki. Śruba zaczęła pracować poważnie, spokojnie.

### Odplywamy

Na dni dziewiętnaście okręt zabrał hrabiego Wodzickiego do swoich apartamentów. Tyle bowiem czasu potrzeba, by dojechać do Tangi.



*Kobieta z Nairobi.*

Lekkie drżenie trzęsie okrętem, pomalеньku wysuwa się on na pełne morze. Z dwóch stron towarzyszą mu na łodziach śpiewacy, to znów jakiś odważny pływak rzuca się w falę, natarczywie upominając się jednak o datki. Wołają, krzyczą, giestykułując.



Podpływają pod sam okręt z roztworzonym parasolem, w który to pasażerowie rzucają im pieniądze.

Jeszcze czas jakiś słycać ich pieśni, widać oddalające się do portu łodzie. Niebawem milkną i te echa. Słycać tylko prace maszyny, dolatuje plusk wody. Brzegu nie widać, skrył się gdzieś w fioletowej mgłę.

Wypelzły na niebo gwiazdy. Ogarnia duszę ludzką bezkres, kołysze do marzeń, budzi tęsknoty nieuchwytnie, dalekie.

### NA MORZU.

Na okręcie życie płynie zwykłym trybem. Ludzie zaznajamiają się z sobą, wtajemniczają w cele swojej podróży, następują ra-

żar z niebapłynie, żar nie dowytrzyma-  
nia. Gorąco praży, znęca się nad ludźmi. Podróżnicy są świadkami pierwszej suchej burzy. Hrabia Wodzicki opisuje ją w sposób następujący:

„Zapowiada się straszna, sucha burza. Z coraz większą siłą miotają się wzburzone fale, z jakąś namiętną wściekłością piętrzą się po sobie i gnają ku brzegom nie wstrzymanym pędem. Morze wyje i huczy, otwiera swoje straszne, ciemne łono, jakby chciało pochłonąć wszystko, co śmie stawiać opór jego przepotężnej mocy“ (str. 33.)

Większość ludzi choruje okropnie. Burza ta wgania do kajut wszystkich; kładzie na łoża.

### W TANDZE.

Po kilkunastu dniach morskiej podróży szczęśliwie zawiął „Winhuk“ do Tangi, Z zatoki miasto przedstawia się nadzwyczaj malowniczo. Wspaniałe palmy strzelają w niebo girlandą swoich koron. Wszystko usiane przepyszny, barwnym kwieciami.

Podróźni nasi dowiadują się, że karawana jest przygotowana dla nich. Zadowolenie z tego powodu wielkie, bo nie trzeba będzie wiele czasu naprożno marnować. Odrazu wyjadą w szeroki step, w bajeczną dal pełną przygód i wzruszeń niezwykłych.

Właściwie są jeszcze do załatwienia różne drobnostki, jak wydobycie pozwolenia na polowanie, ale to drobnostka. Załatwia wszystko właściwe biuro, które się specjalnie tem zajmuje.

Karawana składa się z 95 ludzi. Przewodnikiem będzie 50-letni murzyn Mafta. „Ten manjampara t. j. hetman w języku Suaheli, robił już przed kilku laty tę samą wyprawę z uczonym niemieckim Schillingiem, który z Tangi dostał się do jeziora „Victoria Nyazza“ (str. 60). Język Suaheli w Afryce należy do tych narzeczy, za pomo-



Chata w Mombasie.

dy, wskazówki. Nie trzeba się zbytnio tem przejmować, bo jak zwykle, rady ludzkie są zawsze sprzeczne. Jeden rzecz widzi biało, drugi czarno. Jeden był szczęśliw tam, gdzie drugiego prześladowało nieszczęście.



cą którego można się porozumiewać z wszystkimi prawie szczepami murzynów. Jest więc coś w rodzaju fraczyczyny w Europie.

Murzyni w karawanie zgodzeni na następujących warunkach:

„Wszyscy mają dostać utrzymanie, a z pieniędzy manjampara 70 rupii miesięcznie, pod-

dowódca 50, kucharz 25, bojowie po 20 rupii i ubranie zrobione z żółtej materii „kaki“ składające się z kurtki i spodni“ (str. 61) Każdy z bojów dźwigać będzie na barkach swoich 60—66 funtów angielskich. Od Tangi do stacyi Bojko jadą jeszcze kolejną. Dalej droga pieszo.



Wojownicy w Szirati.



W miastach afrykańskich spotyka się tramwaj, który popychają, lub ciągną murzyni. Zabawny jest widok takiej lokomocy. Półnaczy murzyni, coś śpiewając zapamiętane, popychają wagonik. Za psie pieniądze można robić kilkokilometrowe przejażdżki.

Domy w Tandze przeważnie schludne,

choć nie brak brudu w murzyńskim osiedlu. Jest tu też misya katolicka pod nazwą „les pères de St. Esprit“. Żaden z księży nie zostaje jednak tu dłużej nad cztery lata, bo febra dziesiątkuje tu ludzi okropnie. Grasują też straszne muchy, które zarażają ludzi śpiączką. Podróżni nasi przygo-



Zabita Impalla.





Rogacz gazelli Granta.

towani są na wszystko, oprócz bowiem poży-  
wienia, przyrządów myśliwskich—zabierają  
też z sobą apteczkę.

#### NA TERENIE POLOWANIA.

Nareszcie, nareszcie jesteśmy wśród pod-  
zwrotnikowego bogactwa przyrody. Naresz-

cie wybiła godzina, że oczy nasze błądzą  
po swobodnej dali afrykańskiego stepu.  
Z niecierpliwością oczekujemy spotkania  
z grubszą zwierzyną. Dotychczas jednak  
tylko małpki przewijają się po polach lub  
też gazyłe snują się pierzchliwie po za



krzakami. Dotąd nic wybitnego nie udało się zapolować. Jak się później dowiadujemy, winien jest temu nasz przewodnik, który prowadzi nas „barabą” t. j. drogą publiczną. A wiadomo jest, że grubszy zwierz nie będzie chodził traktem.

Spotkaliśmy się z plemieniem malajków. Maleńkie ich lepianki, z otworami, po przez które na czworakach dostać się można do wewnątrz, są brudne. Przynieśli mleko, lecz pić nie można było, gdyż szkaradnie śmierdziało. Dowiedzieliśmy się, że worki skórzane, w których konserwują oni mleko, myją moczem. Zrozumiałe więc, że Europejczycy nie bardzo dodaje apetytu ta przyprawa.

Pierwsze strzały nasze nie dały rezultatu. Zwierz w Afryce jest dziksz niż w Europie. Trzeba go brać na dużą bardzo odległość, gdyż podejść do siebie nie daje. Już widzieliśmy żubrów, rogaczy, antylopy—na razie mamy kilka drobnych sztuk, ale to nie zadawalnia przecież ambicyi myśliwskich.

Dopiero od Anerczy zaczęło nam szczęście towarzyszyć. Cudne są tu owady. Motyle jak przesliczne barwne symfonie. Dla miłośników kolekcji istny raj.

Między Umguwą i Angaruką zdarzyło się ubić nosorożca, udało się dosięgnąć bawołu. Lwy jakoś jednak nie dopisują. Z Angaruki przez Sonię, Ikonę dostajemy się do Nyawanga. Dopiero tu spotkali się nasi myśliwi z tymi królami puszczy. Na jeziorze zaś Victorya Nyanza zdobyto kilka hipopotamów (kiboko).

Używano broni Corday'a, Mauzera, Riquey'a. Ogółem w całej tej wyprawie zabito:

Lwów sztuk 3, lampartów 1, Bawołów 2, nosorożców 4, hipopotamów 2, żubrów pustynnych 9, żyraf 2, żebr 7, antylop końskich 2, jeleni wodnych 7, antylop: imera 22, krowich 10, impalli 24, ridbock 7, górskich 2, dunkier 5, klipsspringier 1, gazel: Granta 14, Thomsona 7, dzików Fakocer 10, hyen 5, szakal 1, zajęcy 3, pawianów 1, małp tumbili 1. Razem sztuk 152.

Płactwo: Kuropatw sztuk 1, orłów 1, sępów 2, sów 1, tukanów 1, gęsi 1, żorawi 1, czapli 1, ibisa 1, kormorany 3, kury stepowe 3, pantarki 9, frankoliny 13, kuropatw 5, gołębi zielonych 14, biegusów 2, pustynników 1, razem 60; zwierząt 152, razem sztuk 212 (patrz

str. 285. Wyprawa myśliwska Aleksandra hr. Wodzickiego).

Jak widzimy rezultat ten opłacił w zupełności trudy myśliwych. Zdobyto rzadkie sztuki: lwy, zebry, żyrafy, hipopotamy.

W notatniku myśliwskim hr. Wodzickiego wyprawa ta została szczegółowo opisana. Skreślił w nim bowiem nie tylko wrażenia myśliwskie, ale nawet i zwyczaje murzynów, opisał życie urzędników Niemców, którzy władną, jak kacyki w tej kolonii. Co każe wielki „nusungo“ (człowiek biały) to musi wypełnić murzyn.

Czarni noszą zwykle imiona, które oznaczają różne zwierzęta. A więc zamiast Stefana, Zdzisława, Stanisława—mamy tam Lwa, Lamparta, Tygrysa.

„Safari“ znaczy karawana

„Simba“ „lew

„Kifaru“ „nosorożec

Dźwiękowo jak widzimy, język murzyński jest dosyć bogaty. Nie sędzę więc by trudny był dla Europejczyka do wymowy. Murzyni sami przedstawiają się sympatycznie. Rozumieją swoje obowiązki. Nie znoszą nieuczciwych i bardzo karzą tych towarzyszy współpracy, którzy psują im opinie.

Hr. Wodzicki widział w jednej z twierdz afrykańskich więźniów-murzynów. Niemiecycy kulturträgierzy zakuwają ich w żelazo. Skuty jest jeden z drugim w długi łańcuchy. Jak okropne są takie łańcuchy, dosyć powiedzieć, że prawie wszyscy ci więźniowie mieli szyje porzniete. Noszą oni wodę, po skończonej pracy wganiają ich do piwnicy i nie rozkuwają. Cały swój wyrok odbywają w takiej „katordze“.

Urzędnicy zaś niemieccy wszyscy mają u siebie szampana, wszyscy podejmowali hrabiego wykwinnym obiadem, doskonalemi cygarami. Niema co mówić—żle im się tam nie powodzi.

Za to królom murzyńskim—bieda się daje we znaki. Jeden z królików, gdy otrzymał cygaro, był bardzo zadowolony a gdy jeszcze dostał rupię, schował ją, jak drogocenny klejnot.

Ciekawe—król chowa rupię z pieczołowitością szynkarza! Wstydzi się coprawda swoich ministrów, ma tron w postaci europejskiego fotelu, ubiera się już w jaki taki kostjum—ale rupię bierze!

Ach, ci murzyńscy królowie!



## POWRÓT.

Z Nyawangi podróżnicy nasi popłynęli jeziorem do Kisumu, stąd koleją aż do Mombassy. Gdy przyszedli zamówić sobie miejsca w wagonach, usłużny urzędnik kolejowy dla wygody pasażerów obiecał wagon podstawić pod sam port jeziora. Droga z Kisumu prowadzi przez posiadłości angielskie. Przez cudny step płynie maszyna, widzi się po drodze przebiegające zwierzęta, których tu nie wolno strzelać tak, jak w kolonii niemieckiej. Tu każdy musi obowiązać się, że do pewnych gatunków zwierząt strzelać nie będzie. Nieuszanowanie przepisu prowadzi później za sobą grąbą karę.

Z karawaną pożegnano się bardzo serdecznie. Murzyni ściskali ręce swoim „msungom“ dziękowali za zarobek i dobre pożywienie.

W Mombassie hr. Wodzicki spotkał znów „Windhuka“ i odpłynął na nim do Europy. Z wrażeń z podróży przekonywamy się, że w dzikiej Afryce znajdują się już pierwszorzędné hotele, że wszędzie, jeżeli jest za co, można wypić butelkę szampana.

Cóż to za rozkaz dla ludzi, którzy mają obole!

Duszę i żołądek mogą zadowolić w sposób bajeczny.

Oczy pławią się w słonecznej kąpieli, igrają po barwnej kwiecistości puszczy, wypatrują lwa lub tygrysa.

Ach! te puszcze afrykańskie! Sny i tęsknoty myśliwych świata całego.

Podróż hr. Wodzickiego przekonywa, że odbyć ją można bez wielkiego wysiłku.

A ile pozostawia wspomnień! Ile rozkoszy, ile przeżyć niezastąpionych i rzadkich!

Kogo nie stać na taką drogę, niech przeczyta sobie: Ośmset kilometrów w Afryce środkowej. Wyprawa myśliwska hr. Aleksandra Wodzickiego. Odbył ją hrabia w 1909—10 roku wraz z bratem Jerzym.

Pamiętniki te mają charakter nie tylko osobisty. Zbogacają naszą szczupłą literaturę podróżniczą. Mogą być doskonałym przewodnikiem w stosunkach i obyczajach.

Najważniejsze jednak, że tkwi w nich pierwiastek rzadko spotykany. To poezja myślistwa, odczucie przyrody w najtajniejszym jej szepcie, w najtłuszym jej drgnieniu.

Sądzę więc, że kto kocha przyrodę — z pietyzmem i zajęciem książkę tę przeczyta.

*Wielki Łowczy.*





## Z teatru wojny.

Wzgórza fortyfikacy Czataldzy powstrzymały szalony zalew bulgarski, który jak wyspę na wzburzonym morzu otoczył też ostre rąfy Adryanopola — i nie poszedł dalej.

Pieniły się i huczały fale otaczających dokoła pierwszej w Europie, dawniejszej niż Konstantynopol, stolicy Turcyi — i opadły bezwzględnie po wściekłych szturmach, obficie lejąc krew i pozostawiając setki zabitych i rannych.

W równie zawziętych atakach zdobywali i tracili napowrót bulgarzy i sprzymierzone dywizye serskie pod Czataldżą forty tureckie. Pojedynek artyleryi, jeden z najwię-

kszych, jakie zna historia, słyszane w odległym o 40-ci kilometrów Konstantynopolu, gdzie dniem i nocą mieszkańcy stróżowali na dachach domów, bacząc, czy wróg nie nadciąga pod bramy stolicy.

Tymczasem Europa ochłonęła z piorunującego wrażenia zwycięstw sprzymierzonych i uderzyła na trwogę

Zrozumiano, że jeszcze czas powstrzymać zdobycze młodych państw bałkańskich, zanim zajmą upragnioną przez wielkie mocarstwa zdobycz, klucz bliskiego wschodu, Konstantynopol, zanim car Ferdynand bulgarski zatknie krzyż na Aja Sofia i przy-



*Epizod walki pomiędzy serbami i turkami pod Kumanowem w d. 24 paźdz.*





Obozowisko wziętych do niewoli przez czarnogórców, zdemoralizowanych Turków.

jąwszy wschodni obrządek, ogłosił się carem nowożytnego Bizancjum.

Pierwsza wywołała popłoch Austrya, i grożąc wojną każdemu, kto by popierał związek bałkański, zażądała od Serbii powstrzymania swego pochodu nad Adryatyk. To była sprawa najbliższa, najlepszy powód do interwencji w imię „życiowych interesów“ Austrii i trójprzymierza. Podniesiono sprawę Albanii niezależnej, interesów ekonomicznych Austrii, Niemiec i Włoch, przywołano na pomoc strażaka panslawizmu, — i starannie omijano sprawę najważniejszą, która szaleńczo się z pod tych drugorzędnych spraw wyłania: sprawę Konstantynopola, Salonik i istnienia Turcji europejskiej. Liczono na to, że może same groźby poskutkują — czekano co powie, Anglia, Rosya.

Ale Anglia i Rosya milczą uparcie i tajemniczo. Może poprzemy Serbię, — może nie. Ogdajcie!

Austrya zbroi się, popłoch ogarnął cały kraj, nadgraniczna Galicya spada co raz niżej handlowo i finansowo — państwa trójporozumienia milczą i patrzą uważnie — może przygotowują się — niewiadomo.

Wtedy uderzyły na postrach Niemcy. Bettman Hollweg oświadcza w tonie uroczystym, że poprze sprzymierzeńca, tylko nie mówi jakiego. Ogół prasy przypuszcza, że Austryę.

Ale niektóre dzienniki zapytują ze zdumieniem: Jakto? a gdzie umowa poczdamska, według której Niemcy i Rosya nie mają występować przeciw sobie? Co znaczy to dwuznaczne oświadczenie kanclerza Niemiec? Przeciw komu kieruje się ostrze polityki berlińskiej? Może przeciw Rosyi, może też przeciw sprzymierzeńcowi, jeżeli mu się noga powinie?

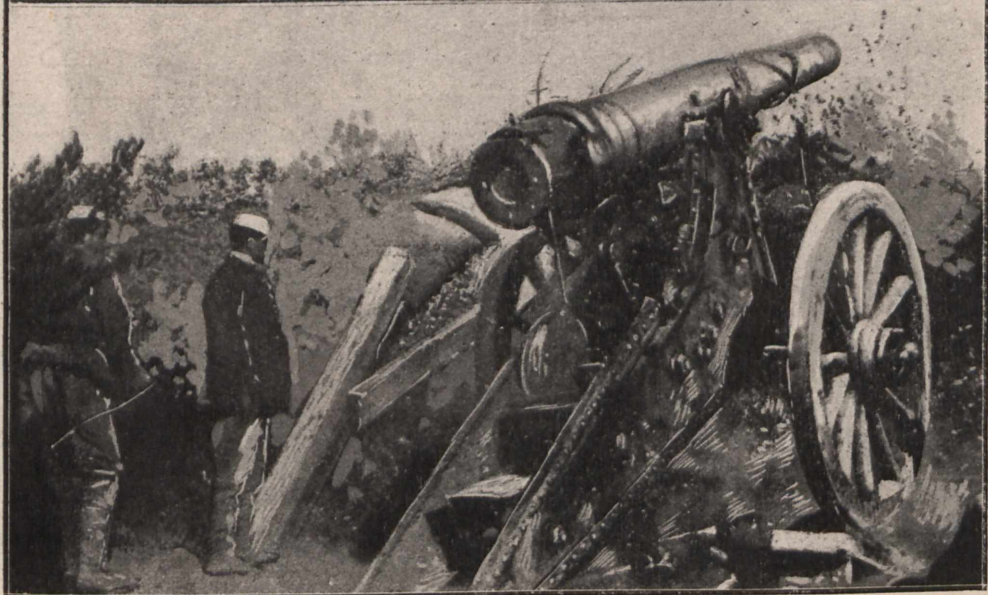
Europa pozostała w niepewności.

Wtedy\* — odnowiono uroczyście trójprzymierze.

Uroczyście i jawnie. Niewiadomo tylko, czy tajne umowy, które nam przyszłość odsłoni, nie okażą się ważniejszymi i czy nie wpłyną na ważniejsze sprawy nie tureckie.

Tak stają mocarstwa przeciw sobie — w ciem, podziemnym napięciu, podczas gdy bułgarzy i sprzymierzeni zaprzestali ataków — na Czataldżę, zawarli rozejm z Turcją i w dn. 14 grudnia rozpoczynają w Londynie rokowania pokojowe.





1. Ucieczka tureczek z Tracii. 2. Opuszczona bateria po bitwie. 3. Armata czarnono-górska pod Skutari.





Artyleria turecka, cofająca się wśród okropnego błota z pod Baba-Eski.  
Według szkicu korespondenta wojennego angielskiego.



Cofanie się armii tureckiej po klęsce pod Lule Burgas.





Tryumf zwycięzcy: Bułgar i grek znaczą krzyż: na fezie turka w Salonikach.

W Paryżu, nie w Berlinie, jak słychać ma się odbyć „konferencja ambasadorów“, na której wielcy tego świata zajrzą sobie w oczy i wyjawią, jakie części pragną dla siebie wykroić z ogromnego ciała powalonej Turcji i kogo może jeszcze zechcą w Europie powalić — z pośród siebie samych.

### CZATALDŹA i DARDANELE.

Po nadludzkich wysiłkach pod Lule Burgasem, Bunar Hirsarem, Vizą i Czorlu armia bułgarska i z przymierzone dywizye serbskie miały chwilę wytchnienia.

Po odpoczynku ruszyli do ataku na Czataldżę. Pierwsze bitwy, które zaczęły się w początkach listopada, nie były dla atakujących pomyślne. Turcy mieli nawet zabrać im całą baterję.

Następne walki dn. 17 i 19 listopada dały sprzymierzonym chwilowe powodzenia. Generał Dimitriew miał nawet zdobyć pozycję koło Derdem, ale go ztamtąd wyparto. Szturmem Czataldży niepodobna zdobyć. Sprzymierzerzeni rozpoczęli akcję powolnego burzenia fortów artyleryą.

Do dnia 30 listopada trwały gigantyczne walki dział. Jednocześnie postanowiono uderzyć na Dardanelle od strony lądu i morza i zdobywszy cieśninę, poprzeć akcję lądową

przez flotę grecką, którą wplynęłaby wtedy na morze Marmara.

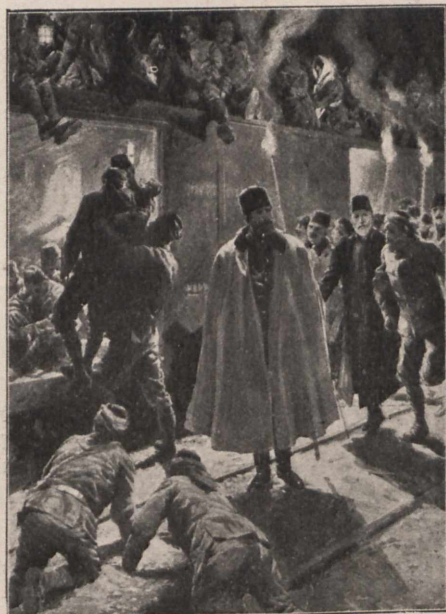
Oddziały greckie i bułgarskie wylądowały w zatoce Xeras i ruszyły w stronę Gallipolisu.

Przerwały te wysiłki rokowania o rozejm.

### POCHÓD SERBÓW NA MONASTYR I DURAZZO.

Jednocześnie serbowie, ścigając armię turecką, pobitą pod Kumanowem, dopadli jej pod Monastyrem.

Doszło tam do jednej z najkrwawszych bitw w tej wojnie. Turcy, w ilości 80,000 żołnierzy — były to dywizye, wyparte od południa przez greków i od północy przez serbów — zajęli bardzo silne pozycje na wzgórzach. Dostęp utrudniały wylewy rzek i strumienie po nieustannych ulewach. Serbowie z rzadką walecznością zdobyli te pozycje, wzięli mnóstwo armat (około stu) i kilka tysięcy niewolnika. Około 20,000 Turków, zabitych i rannych, zastało pole walki. Reszta wojsk tureckich zdołała się przeźnać przez otaczające ich dywizye serbów, ale dostały się w ręce spieszącej serbom na pomoc armii greckiej. Grecy dokonali



Machmud-Muchtarpasza, dozorujący wprowadzania rannych i chorych do wagonu.





*Porażka. Ranni cofają się.*

zwycięstwa serbskiego w okolicach Floriny.

Działo się to w dniach 17 do 19 listopada, równocześnie z głównymi bitwami pod Czataldżą.

Zdobycia Monastyru dokonała armia serbskiego następcy tronu.

Armia generała Jankowicza, która poszła na pomoc czarnogórcom, zajęła tymczasem porty Adryatyku, San Giovanni di Medua, Alessio wreszcie zaś, dn. 29 listopada serbowie, zajmując Dibę, weszli do portu albańskiego Durazzo, do którego „zabroniła“ im wchodzić Austria.

Dokładnych wiadomości o rozmieszczeniu armii serbskich po zdobyciu Monastyru nie ma. Podobno znaczna część armii powróciła do Serbii, czuwając nad granicą austriacką.

### SALONIKI I BULGARZY.

Saloniki zajęli Grecy dn. 7 listopada. Ale już 8-go, a może nawet jeszcze tego samego dnia, weszła do Salonik armia bułgarska gen. Theodorowa, która dążyła tam od północy, po zajęciu Seresu.

Bułgarzy oświadczyli podobno, że armia grecka dlatego dała armii tureckiej pod Saloniką tak dogodne warunki kapitulacji (oficerowie zachowali szpady, żołnierzy puszczono wolno i t. p.) że chcieli uprzędzić w Salonice armię bułgarską, która sama wystarczała do pokonania sił tureckich, Grecy zaś, według Bułgarów, powinni byli pilnować innych armii tureckich, tych mianowicie, które pobili później z takimi wysiłkami Serbowie. A istotnie, dopiero po wkroczeniu Bułgarów do Saloniki Grecy zawrócili do Monastyru, gdzie pobili resztę zwyciężonych przez Serbów Turków. Była to gra niebezpieczna.

Gdyby pod Monastyrem zwyciężyli Turcy, armii greckiej oraz armii bułgarskiej Theodorowa groziłoby poważne niebezpieczeństwo.

Sprawa Salonik stała się pomiędzy Grecją a Bułgarią jako kość przyszłej niezgody.

### CHOLERA.

Do wszystkich nieszczęść, jakie zwały się na Turcję, doszło jedno jeszcze: cholera.



*Piechota turecka w zabezpieczonych od pocisków szałasach pod Czataldżą gra w karty, oczekując na rozkaz stawienia się do szeregów.*





*Zbiegowie tureccy, przepelniający wagony w Czorlu po bitwie pód Lule Burgas.*





Szkic z teatru wojny. Kobiety tureckie broniące dzieci od stratowania przez konnicę turecką, cofająca się z pod Lule-Burgas.



Narada attachés wojskowych 5 mocarstw pod Czataldżą.

Anglia, Rosya, Włochy, Francya i Austria.



Piechota turecka w szańcach Czataldży.





*Turcy w okopach dla piechoty pod Czataldżą.*



*Tureckie okopy pod Czataldżą w miejscowości nawiedzanej przez cholercę.*





Akcyja wojenna pod Budż-Czekatneje, gdzie się toczyły rokowania o zawieszenie broni.  
Flota turecka ostrzeliwa pozycje bułgarskie.

Straszną epidemię zawlekli do Konstantynopola i wojsk tureckich rezerwicy azyatyccy. Cholera zaczęła pochłaniać codziennie setki ofiar w stolicy, oraz na pozycjach pod Czataldżą.

### ROZEJM

Upadek Monastyru, milczenie mocarstw, cholera i wyczerpanie środków zmusiło Turcję do rozpoczęcia kroków pokojowych.

Ponieważ zaś armie bułgarskie i serbskie pod Czataldżą zaczęły cierpieć niedostatek z powodu trudnego dowozu żywności, więc dnia 3 grudnia zawarto rozejm na warunkach następujących:

Oblężonym fortecom tureckim, Adryanopolowi, Skutari i Janinie, armie sprzymierzone nie będą dostarczały żywności, aż do zawarcia pokoju stałego.

Flota turecka przerwie blokadę wybrzeży morza Czarnego i pozwoli na dostarczenie żywności drogą morską armiom sprzymierzonych pod Czataldżą.

Wojska pozostają na pozycjach, zajętych dn. 3 grudnia.

### ABSTYNYNCYA GRECY

Na warunki powyższe nie zgodziła się Grecya, która chciała wydania obleganej twierdzy Janiny.

Grecya sama prowadzi w dalszym ciągu wojnę z Turcją. Utrzymuje blokadę wybrzeży na morzu Egejskim i wysadza wojska na ląd półwyspu Gallipolisu, zmierzając do zdobycia Dardanelów.

Jest bardzo możliwe, że ta abstynencya Grecyi od warunków rozejmu nastąpiła zapewne za tajną ugodą innych sprzymierzonych.



# Ze Świata Mody

## MODA

Zwykła nasza korespondentka pani Magay, przesłała nam w ostatnich dniach — najświeższe, tylko co pojawione — lub dopiero zapowiedziane nowości z działu mód.

Oto jak się one przedstawiają.

„Każda elegancka paryżanka posiada kostium krawiecki z mory czarnej lub kolorowej, który nosi na mieście — korzystając z ostatnich dni jesiennych. Przybierają te kostiumy sukniem lub felpą tegoż co kostiumy koloru, a przeważają barwy ciemnogrnatowe, *prune* (śliwkowe) *loutre* (fokowe) lub *taupe* (krecie).

Spódnice krawieckie nie są o wiele szersze od noszonych w sezonie ubiegłym, niektóre bywają plisowane, co nie wpływa na ich objętość gdyż fałdy są ściśle zamocowane i nic się do szerokości spódnicy nie przyczyniają.

Zakłady noszą przeważnie długie, zbliżone krojem do wydłużeń frakowych, a z przodu ścięte tak, że odslaniają całą spódnicę. Rękawy są wszywane wysoko na ramionach — do kostiumów są one długie — gładkie i wąskie. Przeważającym sezonowym kolorem jest tak zwany *gris ardoise* (szyfer).

Wielki szyk polega na przybieraniu sukien futrem, jest to jeden więcej zbytek dodany do tyłu innych. Futra używane do przybierania sukien powinny być płaskie, nie puszyste.

Materyał zwany *velour de laine*, będący ulubieńcem sezonu, posłuży do wykończania bardzo ładnych kostiumów krawieckich. Tak zwane *veste russe*, czyli kaftany ruskie, zapinane na boku szeldkretowymi guzikami, a obszywane przy szyi futrem, okazują się bardzo praktyczne, gdyż dobrze chronią od chłodu.

Wspaniałe płaszcze (*manteaux*) pokrywają toalety po południowe, są one przeważnie

z aksamitu *broché*, czyli wytłaczanego w kwiaty lub arabeski, są bardzo szerokie, tworzą draperye, a ubierają je futrami puszystymi, najczęściej białymi lub srebrnymi lisami.

Panny nosić będą w tym sezonie przeważnie kostiumy z welwetu w paski, tak ładne i praktyczne, oraz materyał zwany *serge glacé* (rodzaj świecącej wełny w dwóch kolorach).

Materyały tak zwane szkockie, ciągle cieszą się powodzeniem, jako przybrania sukien. Szerokie paski szkockie na gładkiej sukni bardzo dobrze wyglądają, wstążki o deseniach szkockich zdobiące szwy zakietów, rusze z takichże wstążek na szyi i t. d. Wreszcie zaczęto wyrabiać tak zwane szkockie muśliny przeznaczone na tiuniki do sukien z materyałów gładkich, jest to jedna z ostatnich sezonowych nowości.

Tak zwane *tour du cou* czyli okolenie szyi z przeróżnych futer — ozdabiają na boku kokardami z wstążki — pasmanterią, chwastami, są one bardzo łatwe do włożenia i zdjęcia.

Koronki coraz bardziej wchodzą w użycie, nie tylko jako pokrycie materyi gładkich, ale zdobią one nawet wspaniałe adamaszki i brokatele. Często zdarza się widzieć na spodzie sukni wykończonej z brokateli — całą koronkową tiunikę, a czasem brokatela zastąpiona bywa pięknym aksamitem.

Jako nowość kapeluszu, pojawiły się skromne toki, rodzaj czapek fokowych, z podbiciem z białej felpy, przybierane bywają egretami“.

Tyle donosi nam pani Magay z Paryża.

A w Warszawie?... Oczywiście noszą i nosić będą wszystko co w stolicy Mody, bo na warszawskim gruncie przedziwnie się „Moda“ przyjmuje, nasze panie posiadają dar — intuicyę toaletową, przyswajają sobie szybko „modę“ nie tylko w głównych jej podstawach i zarysach, ale w szczegółach i szczegółkach. Mamy tego dowód w tak epidemicz-



nie noszonych u nas w tym sezonie trzewiakach, krojem amerykańskim z czarnego lakieru z *białymi* cholewkami lub z nakładanymi na trzewik *białymi* sukienkami kamazami...

Tu pozwalam sobie zaprotestować przeciw temu modnemu kapryśkowi szpecącemu

kamaz, stanowczo nie nadaje się na jesień i zimę w naszym klimacie z chronicznym błotem, rozbryzgiwanem przez gumy dorożek i automobili nie tylko na stopy, ale nawet na głowy przechodniów, a nic już brzydszego jak białość kamazja umazana błotem na czarno i popielato... Trudno, trzeba te białe



najpiękniejsze nóżki na świecie, to jest nóżki Warszawianek. Przedewszystkiem fason *amerykanów* jest brzydki, niezgrabny, ciężki — może to być dobre jako obuwie sportowe na góry i lody, ale nie na wielkomiejskie ulice. Następnie *biała* cholewka lub *biały*

stopki zostawić paniom powozowym, a do chodzenia wyrzec się tej *pseudo* elegancyi, która w ostatnich czasach zaczyna już trochę *podejrzanie* wyglądać... więc trzeba nosić kamazje sukienne czarne, lub koloru kostiumu.

Śliczne są owe toki, o których pisze p. Meggi.



Miękkie, dowolnie się układające na głowie, wierzch ciemno-lśniący fokowy, spód z białej felpy, głęboko na głowę nasunięte, mają specjalny swój szyk, trochę automobilowy, ale zupełnie ładny i bajecznie na zimę praktyczny. Oczywiście *taki* tok nosi się wyłącznie do kostiumów spacerowych, a nigdy do strojniejszego ubrania.

promieni staje się czarną, przy zachodzie słońca jest pysznie zieloną, a przy świetle sztucznem najwspanialej purpurową. Tym sposobem suknia lub płaszcz z takiej materji może dawać złudzenie czterech odmiennych toalet i czynić kobietę podobną do kameleonu. Krawcy paryzcy sprzedają na wagę złota tę nowość, za którą elegantk

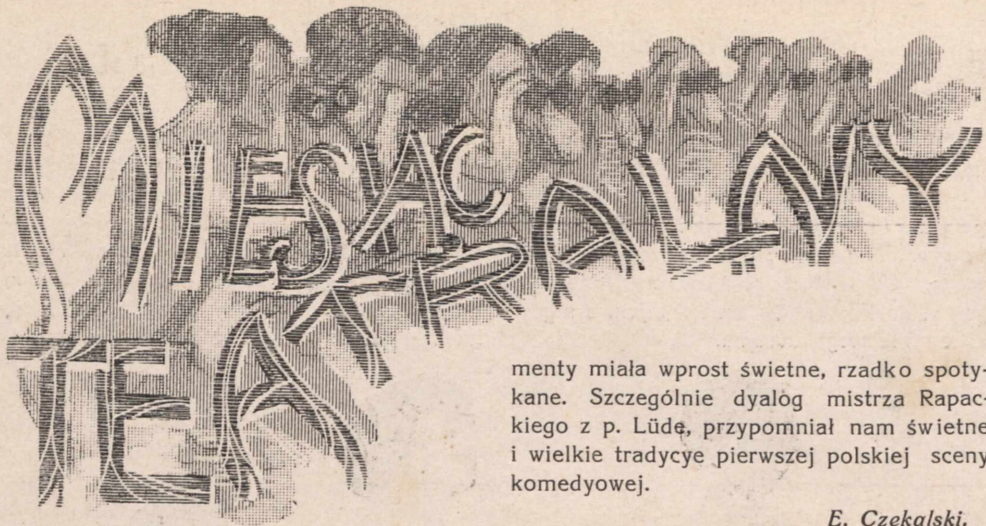


Dowiaduję się o jednej z licznych w tym sezonie ekscentryczności „Mody”—*jakiej* jeszcze nie było... Otóż uczony chemik włoski Doktor Ciamician, wynalazł nadzwyczajny sposób zafarbowywania różnych materji. Z biegiem godzin materya zabarwia się coraz to inaczej. Rano jest popielatą—w godzinach południowych pod wpływem słonecznych

(oczywiście ekscentryczne) przepadają.

Marcèle.





## „JENIEC NAPOLEONA“

*Komedia w 3 aktach St. Kozłowskiego.*

Komedia Kozłowskiego posiada charakter cichej i spokojnej legendy, którą opowiedano nam w dzieciństwie. Równo i składnie toczy się akcja, grają barw dawnych kostymów, widz patrzy bez zmęczenia i mimowolnie składa ręce do oklasku. Ton bowiem najważniejszy, ton zasadniczy jest sympatyczny sercu polskiemu. Biją prusaków, biją tego—czyż to nie jest wiadomością, która jest nam miła? A jeszcze kto ich bije?! Sam Napoleon, rodzic wielkich polskich nadziei, bóstwo naszych wielu wspomnień.

Fabula jest rzeczą drugorzędą. Bo, że tam jakiś pan Langeron uciekł z Paryża, gdyż chciano mu główkę odjąć od tułowia i teraz się tuła na berlińskim bruku—to nie jest tak ważną rzeczą. Elektryzuje nas, że uciekł przed Napoleonem. A gdy się dostaje znów w szpony orłów napoleońskich ciekawości wszystkich, ... co uczyni z nim cesarz.

Przecież młodzik przysięga mu dochować wiary do ostatniego życia tchu, a napewno nigdy nie dochowałby jej kochance. Stąd też płynie ferment, który zaciekawia widza.

Wszystko dobrze się kończy, jak zawsze w komedii. A więc i na ten raz dwie polskie „diplomatkę“ wyprowadzają Langerona z siel napoleońskich! Co więcej, Langeron może powrócić do łask cesarskich! Zostanie żołnierzem i przez to zmyje wszystkie swoje winy.

Komedia ta doskonale jest grana przez aktorów teatru Rozmaitości. Niektóre mo-

menty miała wprost świetne, rzadko spotykane. Szczególnie dyalog mistrza Rapackiego z p. Lüdę, przypominał nam świetne i wielkie tradycje pierwszej polskiej sceny komedycyjnej.

*E. Czekański.*

## „BACZNOŚĆ“.

*Lekka komedia w 3 aktach A. Capura i A. Vebera.*

Po francusku tytuł tej komedii brzmi „En garde“. Jestto zresztą tytuł, który w zupełności odpowiada środowisku, gdyż ludzie krzyżują szpady, fechtują się, fechtują do upadłego.

Na tle tego fechtunku zachodzi mała kolizja małżeńska, ale bez... konsekwencji. Ot—dla próby żona „symuluje“ zdradę, a właściwie mąż zazdrosny, śledząc swą małżonkę, przyszedł do tego przekonania. Zdecydował się nawet zemścić, już zamówił sobie damę do towarzystwa, by pojechać z nią do Włoch. Wszystko rozumie się, przez zemstę.

Niebawem jednak na chmurnym niebie zjawia się słońce, firmament wyjaśnia się coraz więcej, aż wreszcie padają sobie w objęcia czuli małżonkowie. Są bardzo szczęśliwi i zadowoleni z tego, co się stało. Poznali bowiem siebie lepiej. Poznali przyczynę swojego nieszczęścia. A wiecie — czemu byli nieszczęśliwi? Za bardzo ufali sobie.

Z czego wniosek, że kto chce być szczęśliwy, nie powinien zbyt ufać.

Do uwydatnienia tej maksy dzielnie pomagali p. Gasiński i p. Leszczyńska. Szczególnie p. Leszczyńska. Dała taką jędrną postać żony,—„mieszczanki“ — i to bez cienia szarży. Dobrym był też p. Ferner. W krótkiej epizodycznej roli wyróżnił się zaszczytnie p. Wik. Kamiński.

*E. Czekański.*



# W stulecie założenia Tomaszowa.

Większość ziomków naszych, nie zna romantycznych narodzin Tomaszowa, jednego z najznacniejszych obecnie ognisk wytwórczości krajowej.

Otóż, na całej przez czterdziestotysięczną ludność zamieszkałej obecnie przestrzeni, tu gdzie dziś liczne fabryki strzelają w górę wysokimi kominami, a szczykiem kół i świstem pasów hałaśliwie manifestują wrzące w nich życie.



**ANTONI OSTROWSKI,**  
*senator-wojewoda Królestwa Kongresowego,  
naczelnik gwardyi nar. warsz., założyciel  
Tomaszowa.*

Sto lat temu jedne tylko szept niebotycznych dębów i sosen, martwą budził ciszę.

Jak okiem sięgnąć, szumiały bory głuche.

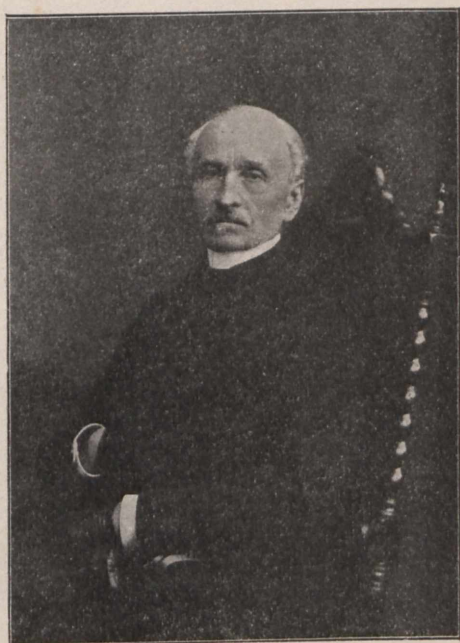
Właściciel owych borów, Tomasz Adam hr. Ostrowski, kasztelan Czerski, zapragnął w dziedzictwie swem wzbogacić rolnictwo i zaprowadzić przemysł.

Dobrej woli traf przyszedł w pomoc: przy osuszaniu błotna trafiono na bogate pokłady

rudy i to zrodziło początkowo osadę kuźniczą.

Miejscowość odległa od Warszawy mil 14, od granicy śląskiej o 16—18, od Berlina 63, od Krakowa 22, przez szczęśliwe swe położenie geograficzne, obiecywała stać się ważnym centralnym ogniwem handlowo-fabrycznego łańcucha. Szerokie zamierzenia przecięła nieublagana śmierć.

W r. 1815 po utworzeniu Królestwa, syn Tomasza, hr. Antoni Ostrowski, człowiek niepospolitego umysłu porównyując w po-



**TOMASZ OSTROWSKI,**  
*prezes Senatu Księstwa Warszawskiego,  
następnie Królestwa Kongresowego.*

dróżach swych dobrobyt na Ślązku, w Saksonii, Austrii i t. d. zapragnął takowy na grunt ojczysty przeszczepić,

Jakoż wkrótce, królestwo swawolnych nimf i boginek leśnych, zajął poważny Merkury. Do umiłowanego tego przez siebie kąta począł też, ściągając osadników.

Zimą, wśród tęgich mrozów, napływać zaczęli chętni przybysze.



Na forpoczty nie wysyłają marszałków, to też i tutaj, nie bogacze ciągnęli w przedniej straży, ale jak opowiada założyciel „lud bardzo ubogy, a nie bardzo chędogy”.

Każdy przybysz, byle miał świadectwo, że nie zbrodzień i nie włóczęga, otrzymywał grunt pod swoją lepiankę.

40,000 morgów było na kolonie przeznaczone.

Osada kuźnicza początkowo miała w owym czasie, trzydzieści kilka dusz, 4 domy, 2 fryszkerki, a za cały dochód 400 złp.

Drobny ów embryon w ciągu lat ośmiu rozrósł się do gromady kilkudziesięciu, murychanych (z kamienia co prawda) domów.

Poczucie własności obudziło przemysł, zrodziło przywiązanie do własnego kąta u tych, co dotąd bezowocne z nędzą staczali walki.

Zapoczątkowanie przemysłu tkackiego przypada na rok 1815, w którym to roku, dziedzic sprowadził z Görlitz i Grünberga pierwsze rodziny tkaczy.

Po obu stronach szosy wyciągnął się sznur domków przeznaczonych na mieszkanie robotników.

Niemcy miejsce to nazwać chcieli „Spinnlinie”, hr. Antoni jednak, ku nczczeniu pamięci rodzica nazwał Tomaszowem, pod którą to nazwą, ostał się po dziś dzień.

Zakipiało życiem.

Zakłady przemysłowe tak się nagle do Tomaszowa przenosić poczęły, jak wiatrem pomyślnym na żyzną glebę przerzucane zarodki. W r. 1827 urząd skarbowy oplombował już 4,800 postawów sukna.

W r. 1830 Tomaszów wyprodukował już za 4 miliony złp., w tym też roku osada podniesioną została do godności miasta.

Ten bujny rozkwit młodości zwarzyła zawierucha 31-go roku.

Hrabiego Antoniego nie stało.

Z pałacu, wystawionego w 1812 r. istna augjaszowa zrobiła się stajnia: domki robotnicze, jedne porozpadały się same, inne rozebrała na opał bezwzględna ręka nędzy.

Miasto, produkujące już podówczas za 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miliona rubli jakby wymarło.

Zewsząd wiało pustką.

W dwadzieścia sześć lat z góra, syn założyciela hr. Stanisław Ostrowski, sierotą powrócił z tułaczki.

Z pod popiołów przeszłości, wylaniać się poczęła teraźniejszość.

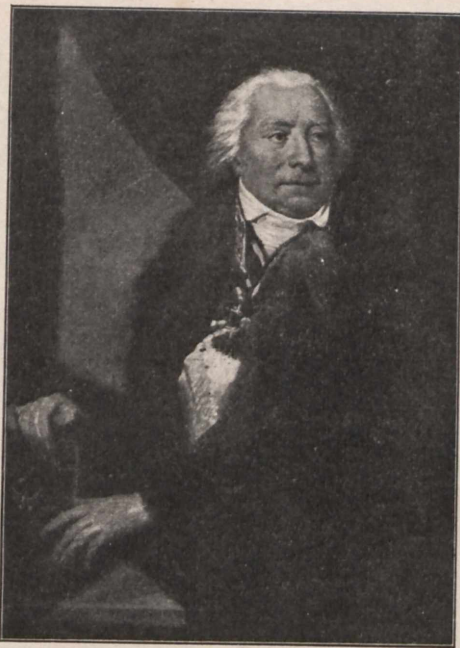
Kołobieg przemysłowy, acz nie w tak szybkim jak początkowo tempie, potoczył się jednak rażno.

Dziś przemysł tomaszowski pewny zyskał grunt pod nogami, gotów stanąć w szrankach najdoskonalszej wytwórczości, a i ten jeszcze wielki wygrał atut, że nie trzymając się, jak niegdyś wydeptanej ścieżki wełny i kamgarnu, nowymi drogami nowe zyskuje siły. Doba ostatnia przyniosła nam fabrykę pluszu ze wspaniałym wyrobem wyłączającym konkurencyjną zagraniczną, imponującą fabrykę sztucznego jedwabiu, fabrykę

wykwintnych mebli, przedziałnię wełny czesankowej, Poprzednio już mieliśmy 2 fabryki dywanów.

Nazewnątrz, miasto bardzo dobre sprawia wrażenie, dość czyste, zadrzewione. Placówek kulturalnych prawdziwie oświatowych, ani cienia, szkolnictwo reprezentowane przez jedną, nawiasem mówiąc, doskonale prowadzoną przez obecnego kierownika polską szkołę handlową, żadną miarą na miejscowe potrzeby wystarczyć nie może.

ETB.



STANISŁAW OSTROWSKI,  
długoletni wice-prezes Towarz. Dobroczynności w Warszawie.



# Lotnictwo w 1912 r.

Czy rok 1912 zrobił wielki postęp, i na czym ten postęp polega?

W roku zeszłym przewidywano, że szybkość

większą aniżeli szybkość na powierzchni ziemi: przy pomocy pociągu kurierskiego czy samochodu.



*Lotnicy: J. Védrines, rekord szybkości (173 km. na godz.) 13 i 14 lipca, na samolocie Duperdussin. 2. Audemars—Paryż, Berlin w 2 dni na Blériocie. 3. Dancourt 860 km. w ciągu 1 dnia, rekord dziennego przelotu na Borelu. 4. Weymann zwycięzca konkursu Saint Malo i z powrotem i Tamiza-Vernon na samolocie wodnym.*



*Lotnicy: S. Garros, zwycięzca w locie o wielką nagrodę franc. Aero Clubu na Bleriocie. 2. Labouret, zwycięzca na konkursie hydroaeroplanów (samolotów nawodnych) w Saint-Malo. Bedel, zdobywca pucharu Pommery w locie Villacoublay-Biarritz jednodniowym. 4. Le-gagneux—rekord światowy wysokości 5450 m.*



*Lotnicy: 1. Helen, zdobywca nagrody Henryka Deutsch'a. 2. Gaubert, zwycięzca w konkursie Aero-Cible Michelin (rzucanie pocisków), 3. Fourny, rekord lotu na odległość i trwałość (1010 km. w 13 g. 17 m.) bez lądowania na samolocie Farmana. 4. Espanet, zdobywca nagr. 1 m. Anjou. 5. Fischer, nagrodzony na meetingu samolotów nawodnych w Monaco.*

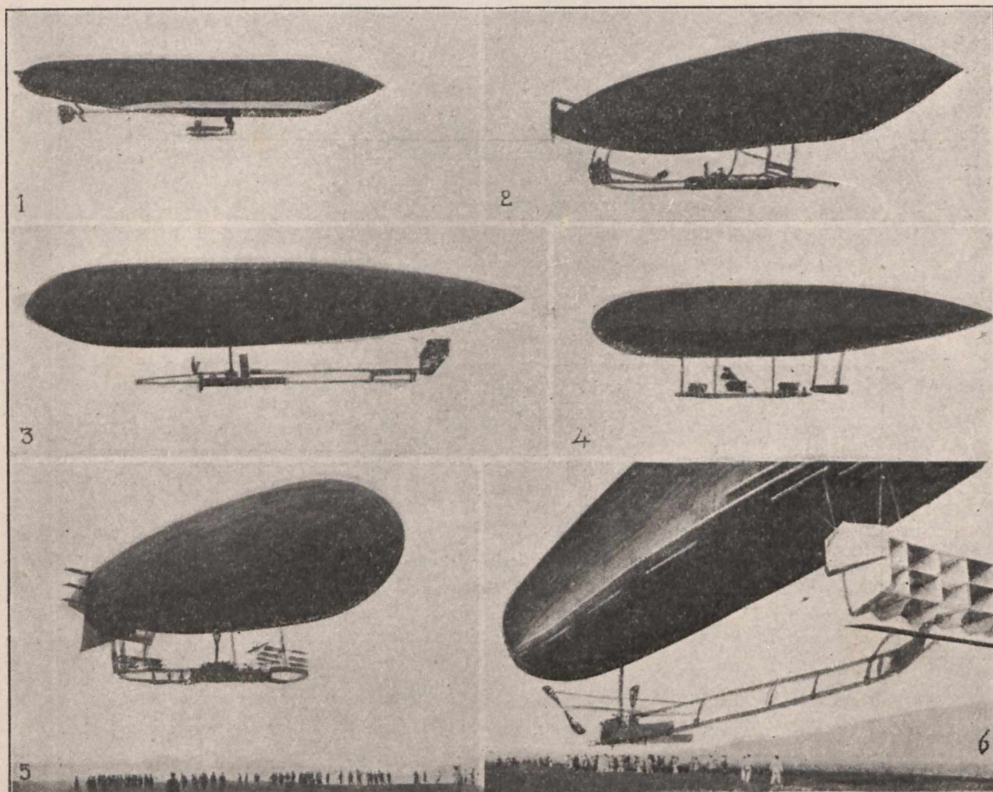
samolotu da się znacznie powiększyć. W samej rzeczy udało się osiągnąć szybkość do 170 kilom. na godzinę, to jest nieporównanie

Jestto zatem postęp zdumiewający, który pozwala nam mieć nadzieję, że niebawem samolot będzie mógł rywalizować z jaskółką



z orłem i z najlepszymi żywymi latawcami. W roku ubiegłym marzono o tem, żeby przynajmniej przez 10 godzin utrzymać się w powietrzu bez lądowania. Praktyka prześcignęła to marzenie, gdyż lotnik Fourny na aeroplanie Farmana zdołał przelecieć bez lądowania olbrzymią przestrzeń 1010 kilometrów

Wspomniemy choć o kilku dezyderatach lotnictwa. Aparat lotniczy powinien być zupełnie zamknięty, niby łódź powietrzna z pokładem i cały ze stali; skrzydła powinny być składane, równowaga samolotu powinna być utrzymywana automatycznie. Oto zadania, o rozwiązanie których kusić się będzie rok



**BALONY STEROWCE w 1912 r.** 1) *Selle-de-Beauchamp*, konstrukcja *Lebaudy*. 2) *Audiudant-Reau*, konst. *Astra*. 3) *Dupuy de Lôme*, konst. *Clément-Bayard*. 4) *Capitaine-Ferber*, konst. *Zodiac*. 5) *Le Conté*, krnstr. *Astra*. 6) *l'Adiutant Vincenot*.

pozostając w powietrzu przez 13 godzin 17 minut. Dowód to, że mamy już doskonałe motory. A dalej iść chyba nie można, bo człowiek nie zdoła bez odpoczynku kierować samolotem, chyba żeby się lotnicy zmieniali, co nie jest wykluczeniem, i że zapas benzyny będzie większy.

Jestto wiele, bardzo wiele, i jakże wyglądają ci, co do niedawna utrzymywali, jakoby żegluga powietrzna nie odpowiadała jeszcze wymaganiom praktycznym?

Co pozostaje do zrobienia? Bardzo wiele.

przyszły. Jednakże pomimo niezaprzeczenia wielkich postępów można powiedzieć, że lata się znacznie więcej aniżeli dawniej, ale też nie lepiej, niż w roku zeszłym. Postęp bowiem nie polegał na zastosowaniu w lotnictwie całkiem nowych zasad. Tak samo jak w roku zeszłym, jak i teraz nie wymyślono lepszych i nowych sposobów zachowywania równowagi. Skrzydła budujemy podobnie, wzlatujemy i opuszczamy się na ziemię, czyli lądujemy z takimi samymi trudnościami co dawniej. Niebezpieczeństwa te nawet po-



większyły się i jeżeli w stosunku do przelatywanych dystansów wypadki nieco się zmniejszyły, to można jedynie przypisać to większej wprawie lotników w kierowaniu samolotami.

Dobrze więc powiedziano, że lata się dziś więcej, ale nie lepiej niż w roku zeszłym.

Znaczna część przyczyn wywołujących wypadki znikła; nie zabija się dziś lotnik z powodu jakiejś wady w konstrukcyi aparatu, ale to jeszcze nie dowodzi, że samolot osiągnął najdoskonalszą swoją konstrukcyę.

Należy studyować jaknajgorliwiej i najstaranniej budowę skrzydeł, od tego bowiem zależy bezpieczeństwo lotnika zarówno podczas wylotu jak lądowania, a na to, niestety, nie zwracano uwagi w ostatnich czasach.

Sławny inżynier Eiffel oddał się głębokim badaniom nad najodpowiedniejszą formą skrzydła, przy pomocy przyrządów przez niego samego obmyślanych. Z tych badań lotnictwo praktyczne osiągnie niebawem wielkie korzyści.

Kwestya skrzydła sztywnego, czy też giętkiego, nie jest jeszcze rozstrzygniętą i konstruktor, któryby się poważnie poświęcił zbadaniu tej kwestyi nie straciłby całkiem czasu i pieniędzy.

Skrzydło giętkie, któreby mogło odpowiednio do okoliczności zmieniać swoje nachylenie, przyczyniłoby się może do lepszego opanowania równowagi w lotnictwie. Czy podobna wyobrazić sobie ptaka, któryby miał sztywne skrzydła, i nie mógł zmieniać ich nachylenia względem horyzontu?

Na tem polu można zatem oczekiwać zmian doniosłych w niedalekiej przyszłości.

Jeżeli zasady przewodnie budowy skrzydeł nie zmieniły się istotnie, to jednak użytkowanie tychże jest doskonalsze, aniżeli dawniej. Ulepszenia na tem polu zawdzięczamy inż. Eifflowi, który dokładnie określił profile skrzydeł sztywnych, a najlepiej odpowiadających zadaniu. Dzięki danym opracowanym przez tego inżyniera bardzo już łatwo wystudyować formę skrzydła dla każdego przypadku poszczególnego.

Dodajmy do tego, że konstrukcyja skrzydeł jest staranniejszą, powierzchnia polakierowana, co ją czyni gładszą, i nieprzepuszczalną dla deszczu i dla powietrza, a zrozumiemy, dlaczego pewne aparaty osiągają znaczną szybkość przy pewnej danej sile motoru.

Szkielet skrzydeł uległ także znakomitym udoskonaleniom. Coraz bardziej upowszechnia się użycie stalowych blach i rur. Nerwy skrzydła z wycinanej blachy stalowej są niezrównanie mocniejsze, aniżeli drewniane, dotąd przeważnie stosowane.

Wszyscy starali się zwalczać też bierny opór. Zniknęły druty, ciężkie i skomplikowane szkielety; wszystko uległo szczęśliwym uproszczeniom, w celu osiągnięcia najmniejszego oporu. Prototypem takiego współczesnego samolotu jest maszyna jednopłdowiec Duperdussina.

Wygląd zewnętrzny przybierać począta kształty ostatecznie doskonałe; typ samolotu wyrabia się znakomicie, zbliżając się coraz bardziej do ciała ptasiego. Różnice pomiędzy samolotami zaczynają polegać bardziej na wewnętrznych szczegółach maszyneryi, aniżeli na formach zewnętrznych.

Najsolidniejszym klientem fabryk samolotów jest naturalnie armia francuska, więc konstruktorowie musieli się przystosować do jej wymagań. Ponieważ nie może być 50 rozwiązań jednego technicznego zadania, więc wszystkie typy dotąd różne muszą się niebawem zlać w jeden. W niedalekiej przyszłości przedstawiamy sobie samolot o kadłubie zupełnie zamkniętym, z którego wystawać będą jedynie skrzydła i śruba solidna, nie ulegająca łatwo złamaniu się.

Interesującym będzie tu zestawienie postępów w dziedzinie lotnictwa za ostatnie 5 lat.

Rok	Wysokość osiągnięta	Szybkość na godzinę
1908	100 m.	65 km.
1909	475 „	77 „
1910	3100 „	109 „
1911	3900 „	133 „
1912	5450 „	170 „

Rok	Dystans bez lądowania	Czas przelotu bez lądowania
1908	124 km.	2 g. 20 m.
1909	232 „	4 „ 13 „
1910	584 „	8 „ 12 „
1911	740 „	11 „ 15 „
1912	1010 „	13 „ 17 „

Jako uzupełnienie tej tabliczki, bardzo wymownej, dajemy powyżej portrety ludzi, którzy zdobyli, dzięki swej śmiałości i energii, główne rekordy w 1912 r. W.



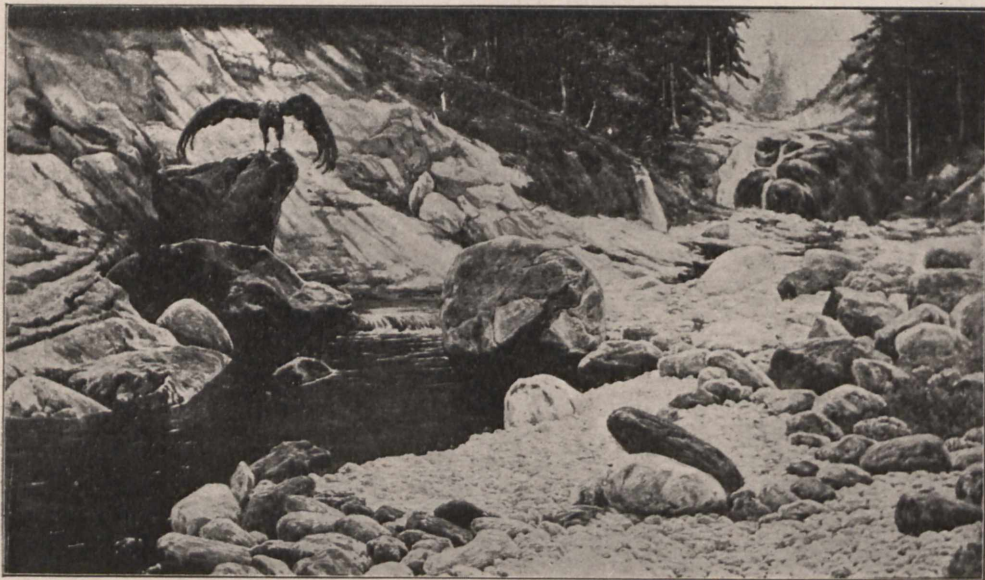
# ZŁAGI

Tegoroczna wystawa jesienna jest bardzo obficie obesłana i na ścianach wszystkich sal zawisło kilkaset płócien—dowód nowego dopływu sił twórczych do polskiej sztuki.

Obok starszych mistrzów stanęła falanga młodszych i najmłodszych. Bezstronność nakazuje jednak przyznać, że stare lwy nie dają się usunąć młodszym z przodujących



*Włodzimierz Tetmajer: Zmierzch.*

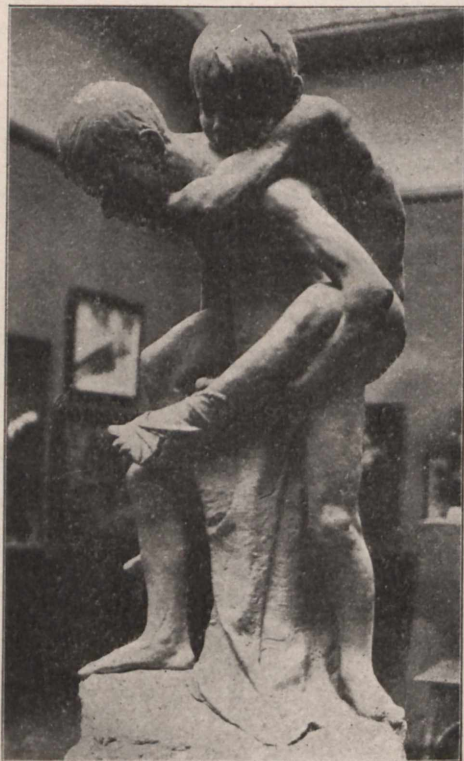


*Henryk Weysenhoff. Szmary.*





Michał Du Laurens. Portret p. S. M.



W. Rudlicki. „Na barana“.

stanowisk, pobijając ich zarówno kompozycją, jak techniką i całym arsenalem zlekceważonych dziś środków technicznych, których nigdy zastąpić nie zdołają w pogoni za oryginalnością à tout prix, graniczącą z dziwactwem i bluffem, lub bardziej uświadomiony. Nie znaczy to jednak, żeby młodzi nie mieli pomiędzy sobą prawdziwych talentów. Z pomiędzy uznanych mistrzów uwagę zwracają:

Kossak, ze swoim świetnie namalowanym wariantem trębacza i dziewczyny. (Z wiosny 1912 r.) Alfred Wierusz Kowalski. (Autoportret) i w Polu; Józefa Brandta Szwedzi w Polsce. Z. Horowitz dał przepyszny portret ks. F. Radziwiłła.

Wzorowany na dziełach starych holendrów, niedościgły w plastyce i karnacji obraz „Porada“ dał nam St. Lenz, który wybija się na jedno z pierwszych miejsc w naszym malarstwie i żałujemy, że nam dać nie wolno reprodukcji tego znakomitego dzieła.. Prócz tego wystawił portret, A. Jabłonowskiego, za który otrzymał wielki, złoty medal w Paryżu.

Z młodszych zwracają na siebie uwagę w tegorocznym salonie jesiennym, Henryk Weissenhoff, górskim krajobrazem *Szmary*, Pilatti silnemi w kolorze „Barkami rybakami“. Konst. Gorski — pełnym smutku dziełem „Powrót“; Ziomek dał ładną Łąkę. Trafnym w nastroju jest A. Manna „Pogodna jesień“. Stabrowski dał „Pałace złote“. A. Piotrowski nadesłał „Kompozycję“ o długim tytule: „Hej hej! i na wojnę pojechał“ prawie jedyną w tym salonie, a więc zasługującą na podkreślenie, E. Lindemana „Nad Popradem“ i Wł. Nałęcz: Widok na Wisłę pod Kazimierzem, zwracają uwagę subtelnością kolorytu i dobrze podpatrzonymi efektami świetlnymi. Kowalewskiego krajobraz „Z nad jezior Wigierskich“ jest bardzo ładnie namalowany, z piękną perspektywą powietrzną. Z portrecistów młodszych malarzy zasługują na wzmianki pocholebne: Rembowski (góralka) Karpiński. Augustynowicz (choć zbiorowy portret jest rozbity wazonem *fioletowych* kwiatów) du Laurans. H. Blanksztein „Zadumana“. Z powodu braku miejsca pominąć musimy cały szereg dobrych obrazów.





Alfons Karpiński. Portret.



Aleksander Rembowski. Góralka.



Aleksander Augustynowicz. Portret rodziny p. S.



Rzeźbę reprezentują w pierwszej linii: silny w charakterze portret p. Daszyńskiego E. Dunikowskiego, E. Wittiga „Portrety hr. i h-ny S.“, wykonane z pewną manierą — Rudlickiego Wł, „Na barona“. Z młodszych sił zwracają uwagę dwa biusty M. Grassówny, talentu silnego i bardzo obiecującego.

W dziale architektonicznym jednym z najpiękniejszych, fantastycznych, na polskich motywach opartym, projektem jest Sosnowskiego „Kościół w Zagłębiu\* i „Gmach Towarz. Wzaj. Kredytu, w Kamieńcu-Podolskim.

I jest sporo innych dzieł zasługujących na wyróżnienie. Niestety, dla braku miejsca musimy o nich zamilczeć.



Kowalewski Z nad jezior Wigierskich.



Włodzimierz Natęcz. Wisła.



# MIESIĄC SPORTOWY

Na polu sportu rok ubiegły nie przyniósł u nas zasadniczych zmian. Jednakże zainteresowanie się sportem zwiększa się coraz bardziej i naogół powiększa się liczba czynnie sport popierających. Tylko że zastępy sportsmenów zmieniają się u nas bardzo szybko. Jeśli np. przejdę myślą naszych foot-ball'istów, którzy zaraz po założeniu Warsz. Koła Sport. w r. 1907 i 8 z zapalem tejgrze się oddawali, to teraz niewielu już z tych na placu się spotyka. Część ich niewątpliwie poświęca czas studiom zagranicą, ale również niewątpliwie wielu zarzuciło grę przez dyletantyzm. Piłka nożna rozwija się u nas pomyślnie. Wzrosła ilość drużyn, a i zawody mnożą się z roku na rok. Najważniejszy konkurs roku — o stypendjum hr. Raczyńskiego wygrała „Korona I“, składem jednak znacznie różniąca się od „korony“, która w r. ub. również w tym konkursie odniosła zwycięstwo. Drugim sukcesem tej drużyny było wygranie pucharu „Polonii“, w którym to konkursie „ofiarodawczyni“ została pobita ale tylko w stosunku 2:1.

Match warszawskiej drużyny reprezentacyjnej z „Pogonią lwowską“, zakończony został rezultatem 5:2 na niekorzyść Warszawy. Jeśli porównać jednak ten wynik z przegraną naszą w Krakowie w kwietniu roku

ubiegł. do „Cracovie“ — to będzie on jeszcze niezły. Dzięki więc W. K. Sport. piłka nożna robi postępy. Nie można tego jednakże powiedzieć o innych działach lekkiej atletyki: bieganiu, skokach, rzutach i t. d; Nie mamy jeszcze możliwości utrzymania fachowca trener'a, a to niewątpliwie jedną z przyczyn małego postępu na tem polu. A materiału

posiadamy sporo i to dobrego. Narazie jednak wstrzymam się od wymieniania nazwisk — może rok przyszły przywiąże do nich jakieś polskie rekordy!

Z jeźdźców-cyklistów wyróżnić trzeba wr. b. p. F. Rawskiego (Mińsk M.), zdobywcę Mistrzostwa (Na rowerze firm. „Hercules“ p. W. Wyczalkowskiego w Warszawie Kr. Pol. w wyścigu szosowym 100 w. (3 g. 26 w.). Na torze Tkaczyk i W. Kłopotowski przodują w dalszym ciągu, ale dla ostatniego rok b. wypadł znacznie gorzej od 1911; natomiast zaczynają

się wybijać Jabrzemski i Kamiński, zwłaszcza w wyścigach na dłuższych dystansach. Mistrzostwo na motocyklu (Warszawa-Lublin-Warszawa) zdobył p. Henryk Szadkowski („Ormonde“), na torze zaś niepodzielnie panuje Piotrowski, faworyt naszej publiczności.

Na konkursach hipicznych ujrzeliśmy kilku nowych jeźdźców i to nawet nie wojsko-



*P. H. Szadkowski. Mistrz Król. Polskiego na rok 1912/13.*



wych. Przewaga jednak starszych jeźdźców była widoczna. W głównej nagrodzie sezon zwyciężył p. Rodzianko, zaś p. p. Dachowski i Pleszkow jak i co roku byli wyróżniani. Szkoda, że nie powtórzono b. ciekawego championatu konia myśliwskiego — może w r. b. dojdzie on do skutku.

Z instytucji sportowych, które więcej zajmują się sportem niż kartami, wymienić trzeba Tow. Wioślarzy, które ograniczyło się nietylko do szerzenia żeglowności do wiośła i pływania przez wycieczki, regaty i konkursy pływackie, ale urządziło zawody ogólnosportowe, lekcyjne gimnastyki i szermierki. Co do tego ostatniego sportu to dyletantyzm ujawnia się tu bardziej, niż w innych sportach. Wielu po roku szermierki uważa się widać za biegłych w tej sztuce, to też szermierzy amatorów, którzyby się wzniesli ponad przeciętną miarę jest b. niewielu. Przy-

tem ci ostatni są porzuceni po kilku sabbatach warszawskich i nie wyróżniono z pośród

nich najlepszych. Rzucam myśl urządzenia w r. p. zawodów ogólnych tylko dla amatorów, z wyłączeniem szermierzy wojskowych.

Z innych sportów tenis cieszył się popularnością. Boks, dzin-dzitsu uprawiają tylko nieliczne jednostki. W listopadzie przeniesiona została do Warszawy szkoła lotnicza z Gątczyny i co dnia niemal lotnicy wykonywują wloty jakich dotąd nie widywaliśmy. Pierwszy raz mieliśmy sposobność oglądania kilku aparatów jednocześnie na znaczniejszej wysokości.

Oto w najkrótszych zarysach bilans roku ubiegłego. Pisma specjalnie sportowe, które po temu mają więcej miejsca i warunków powinny obszerniej omówić nasze sportowe dorobki z roku ubiegłego.

Stanisław  
Schuch.



P. F. Rawski, zwycięzca wyścigu 100-wiorstowego.



Drużyna reprezentacyjna warszawska i „Pogoń” lwowska.



# ZAMIESIARCA

## SPRAWY POLSKIE

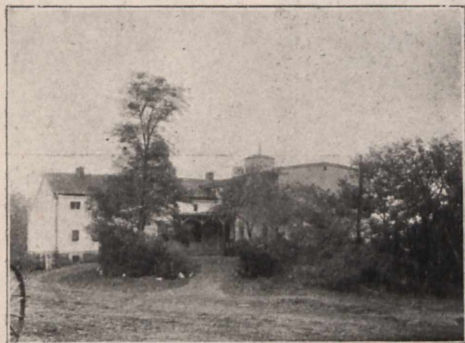
(W OBEC WYWŁASZCZENIA.)

*Poznań w Listopadzie, 1912.*

Łańcuchowi krzywd, jakeimi system pruski dręczy nas od chwili przejścia pod jego rządy, przybyło jedno ogniwo: ustawa o wy-

wprowadzona w czyn. Pierwszemi ofiarami tego bezprawia są majątki: Lipienki w Prusach król., p. Liszkowskiej, Dobaki pod Strzelnem (p. Zabłockiego), Złotniki pod Poznaniem p. Kosiulaskiego i Kołdrąb pod Janówcem p. Józefa Trzczińskiego

Spółceństwo polskie zareagowało w tej



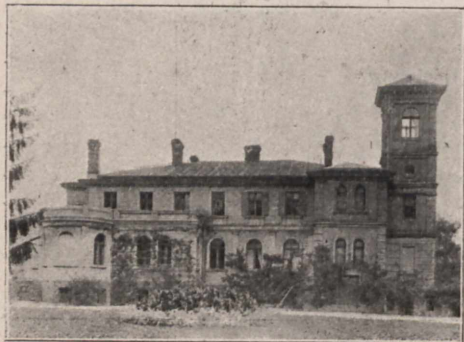
*Dwór w Dobukach.*

właszczeniu polaków, która według uroczystych przyrzeczeń ówczesnego kanclerza, ks. Bulowa, nie miała nigdy być zastosowa-



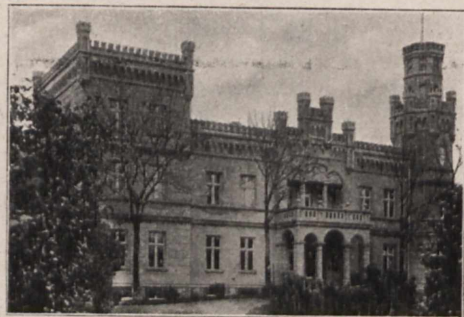
*Lipienki.*

chwili na ten akt brutalnego gwałtu. Zrozumiano, że niemców najskuteczniej dotknąć można na kieszeni. Pochwycono się więc



*Złotniki.*

na a jedynie pełnić miała rolę niejako miecza Demoklesowego zawieszego nad naszymi głowami, pod parciem hakatystów została



*Kołdrąb.*

tego środka odwetu i zainicyowano szeroko założoną akcją bojkotową względem niemieckich i żydowskich przedsiębiorstw.



Do akcji tej przyłączyły się przedewszystkiem także sfery ziemiańskie, które dotychczas nie mało grzeszyły przeciw hasłu: swój do swego. Akcja ta snąc już dzisiaj odnosi pewien skutek, jeżeli wierzyć mamy odezwie niemieckiego towarzystwa detalistów w Poznaniu, która protestuje przeciw wywłaszczeniu polaków, nie dla tego jednak że jest ono pogwałceniem najświętszego prawa, lecz z obawy przed — stratami.

Polacy też wzięli odezwę tę nie czasem jako znak sympaty z budzącego się sumienia, lecz jako nieklamany objaw obłudnego i z gruntu zdemoralizowanego charakteru prusko-niemieckiego i przeszli nad nią do porządku dziennego. Z drugiej strony zanotować wszakże należy fakt, że znaleźli się Niemcy, którzy nie chcieli odegrać roli pacholków katowskich i odmówili posług przy taksowaniu majątków.

Społeczeństwo polskie nie ograniczyło się do jedyne go środka bojkotu, lecz poczęło rozglądać się za innymi środkami obrony. Na pierwszy plan wysunął się tutaj już dawniej obmyślony projekt utworzenia Rady Narodowej, któraby wzięła pod swą opiekę i egzekutywę całokształt naszych spraw narodowo-politycznych i ekonomiczno-oświatowych. Panuje powszechna zgoda co do potrzeby podobnej najwyższej instancji, to też nie ulega wątpliwości, że sprawa ta w najbliższym czasie doczeka się szczęśliwego rozwiązania.

Tymczasem już ukazała się odezwa ziemianstwa polskiego, zaopatrzona w setki podpisów, protestująca przeciw zabieraniu ziemi polakom w drodze przymusowej i głosząca solidarność całego stanu ziemiańskiego w obronie ziemi. Odezwa, chociaż wypadła może niezbyt silnie, w tonie i treści, stanowi przecież potężny objaw solidarności i gotowości narodowej.

Za przykładem ziemian poszło Sokolstwo nasze, niebawem też zaprotestowały przeciw wywłaszczeniu nasze organizacje kupieckie: Związek towarzystw kupieckich, Zjednoczenie młodzieży kupieckiej i Związek kupców podróżujących. I z kół robo-

tnicznych wiejskich, które dotychczas nie mają prawa koalicyjnego odezwały się na łamach pism głosi solidaryzujące się z resztą społeczeństwa i wzywające robotników do natychmiastowego, gremialnego porzucenia wywłaszczonych majątków.

Równocześnie przygotowywała się akcja wiecowa.

Nim wszakże przyszedł do skutku wiec generalny, gorętsze żywioły zwołały wiec do stolicy piastowskiej Gniezna, dzisiaj niestety osaczonego ze wszech stron przez kolonizację, i tam też z mównicy Domu Katolickiego padły pierwsze głosi protestu i oburzenia wobec świeżego gwałtu z ust prałata ks. Kurzawskiego, adwokata Karpińskiego i innych mówców. Krótco po tem odbył się w Poznaniu wielki wiec młodzieży wszystkich stanów, który był wspaniałą manifestacją narodową, nacechowaną prawdziwym zapalem i duchem pa-



Kazimierz Chłapowski.

tryotycznym.

Ruszyły się i Prusy królewskie, które na wiecu w Lubawie zaprotestowały przeciw wywłaszczeniu, ruszyły się Śląsk i emigracja. Zbliżył się wreszcie dzień wiecu generalnego, zwołanego na dn. 20 listopada do stolicy Kujaw—Inowrocławia. Zjechało się kilka tysięcy uczestników ze wszystkich części zaborów i z wychodźstwa. Cała Polska wzięła udział w tej manifestacji. Nadeszło przeszło 500 telegramów wyrażających oburzenie i solidaryzujących się z naszymi dzielnicami.

Marszałkował wiecowi senior obywatelstwa ziemskiego, członek izby panów, Kazimierz Chłapowski z Kobaszewa, syn Dezyderego Chłapowskiego. Przemawiali: były poseł Komierowski, proboszcz miejscowy ks. przeł. Laubitz poseł do parlamentu Stanisław Nowicki, włościanin i adwokat Władysław Mieczkowski z Poznania. Przebieg wiecu był godną odpowiedzią na spekulacje rządu pruskiego zmierzającego przez przymuszanie ustawy wywłaszczeniowej wnieść rozkład i rozdzielenie w społeczeństwo polskie.

Nie mniejszą harmonią i powagą odznaczał się także wiec kolonii polskich, jaki



po starannych przygotowaniach odbył się w niedzielę dnia 24 listopada w Urbanowie pod Poznaniem, Kolonia polska chlubny tutaj zdała egzamin ze swego patriotyzmu i ze swej dojrzałości obywatelskiej.



Wiec w Inowrocławiu.

Odbył się jeszcze cały szereg wieców na prowincyi o wysokim napięciu patriotycznym.

Tymczasem procedura wywłaszczeniowa szła swoim trybem.

Przybyli taksatorzy Komisji kolonizacyjnej, ażeby ustanowić cenę za majątki. Właściciele polscy zignorowali ich zupełnie, posyłając jedynie swych prawnych zastępców, ażeby ci byli świadkami procedury szacunkowej.

Jakby dla wywarcia swej zemsty za takie przyjęcie, taksatorzy nazaczyli ceny nieliczące zupełnie z istotną wartością majątków, ceny znacznie niższe od ceny zakupna. W ten sposób dopelniono miary gwałtu na pierwszych ofiarach wywłaszczenia i społeczeństwie polskiem. Jest wprawdzie otwarta droga sądów dla dochowania praw materialnych, lecz wobec wielkości

objektu będą i koszty olbrzymie, zwłaszcza, że proces taki potrwać może lata całe, Tymczasem bez względu na wynik tego procesu o cenę majątku, Komisya wejdzie w prawa właściciela, a prawdziwy właści-

ciel zostaje wyrzucony na bruk bez środków utrzymania, gdyż Komisya przysługuje prawo złożenia ceny kupna w urządzie depozytowym, gdzie pieniądze przynoszą za ledwie 2 i pół proc. W ten sposób cała procedura wywłaszczeniowa obliczona jest w ostatecznych swych konsekwencyach na zupełne zrujnowanie majątkowe dotkniętych nią ofiar.

Mimo wszystko nie brak wśród nas ludzi, którzy wciąż jeszcze ludzą się nadzieją, że do wywłaszczenia nie przyjdzie. Jest i druga kategoria ludzających się, którzy wprawdzie nie mogą nie wierzyć w wywłaszczenie, lecz za to są przekonani, że rząd pruski postąpi z wywłaszczonymi na wskroś sprawiedliwie, że zapłaci cenę nawet znacznie wyższą ponad istotną wartość majątku.

Wszystko to musi wpłynąć osłabiająco na akcyę naszą, mającą sparaliżować skutki wywłaszczenia.

## SPRAWA MACOCHA

Warszawska izba sądowa na kadencji w Piotrkowie rozpatrywała (dn. 19—23 listopada r. b.) w drugiej instancyi sprawę b. mnichów Jasnogórskich: Damazego Macocha, Izydora Starczewskiego, Bazylego Olesińskiego, Heleny Krzyżanowskiej (Macochovej) Cyganowskiego, Pertkiewicza, którzy wyrokiem pierwszej instancyi—sądu okr. skazani zostali:

Damazy Macoch za zabójstwo Wacława Macocha, bez premedytacyi, lecz pod wpływem nagle powziętego postanowienia; kradzież w celi ś. p. ojca Bonawentury Gawel-

czyka, systematyczną kradzież w skarbczyku klasztornym, za fałszowanie dokumentów i podrobienie pieczęci urzędu stanu cywilnego i in. na pozbawienie wszystkich praw stanu i 12 lat ciężkich robót.

Izydora Starczewskiego za ukrywanie zabójstwa i spełnianą systematycznie kradzież w skarbczyku na pozbawienie szczególnych praw i przywilejów oraz 5 lat rot aresztanckich z zaliczeniem roku więzienia prewencyjnego.

Bazylego Olesińskiego, za spełnienie kradzieży w celi ś. p. ojca Bonawentury Gawelczyka na pozbawienie szczególnych praw i przywilejów na 2½ roku rot aresztanckich.



Helenę Krzyżanowską (Macochową) uznano winną świadomego korzystania z pieniędzy, otrzymywanych od Damazego ze świadomością sposobów, w jakie ten ostatni pieniądze zdobywał, z wyłączeniem jednak udziału w kradzieżach, skazano na pozbawienie szczególnych praw i przywilejów i 2 lata więzienia z zaliczeniem roku więzienia prewencyjnego.

Cyganowskiego 7 dni aresztu za nieprawne przygotowanie pieczęci, bez świadomości do jakiego celu ona posłuży.

Pertkiewiczza uniewinniono.

Przeciwko jednak wyrokowi prokurator założył protest, oskarżeni zaś apelacye.

Podczas rozpatrywania w pierwszej instancji sprawa ta nabrała niesłychanego roz-

cił dawne okulary i był zupełnie spokojny.

Damazya Macoch w czarnej sukni, a raczej palce świeckiego księdza, sięgającym do samej ziemi, o twarzy nerwowej, rzucał niepokojnie wzrokiem po ławach dziennikarzy, czasami po sali w stronę publiczności, zachowanie się jego zdradzało silne zdenerwowanie, wogóle zmienił się bardzo—zmierzniał.

Olesiński podczas rozpraw zajmował miejsce obok obrońców, jako odpowiadający z wolności; siedział smutny, z głową podpartą na rękę—modlił się.

Po odczytaniu aktu oskarżenia, listów i przeróżnych dokumentów, które zajęły półtora dnia, sąd przystąpił do badania świadków, z których pewną część zbadano przy



Chądzyński

Kleyna

Rudnicki

Czermiński

adwokaci w sprawie Macocha.

głosu nie tylko w kraju, lecz i zagranicą; przybyło 59 korespondentów różnych pism.

Obecnie za stołem dziennikarskim zasiadło 13 tylko mężczyzn i jedna kobieta; pisma rosyjskie obsadzone były najliczniej, a niemal wszyscy ich przedstawiciele o typach jaskrawo semickich.

• Nie zapomniano i o tragicznej sofie, którą owiazaną sznurami ustawiono przed stołem prezydyalnym.

Przed rozpoczęciem obrad wprowadzono na salę podsądnych, z których Helena Macochowa wybladła, o twarzy wychudłej, straciła wiele na swej poprzedniej pewności. ubrana czarno, gładko uczesana.

Izydor Starczewski—o twarzy jakby ucha-

drzwiach zamkniętych, w obec czego publiczność usunięta była z sali.

Zeznań nadzwyczajnych nie było; zmieniła się tylko sytuacja co do Macocha i Heleny, miłość zwyrodniałego mnicha przeszła w nienawiść i chęć zemsty, która wylana na papier i oddana władzy była w skrutch wybitniejszych drukowana częściowo w różnych czasopismach, resztę dopełnił Macoch, w czasie rozpraw sądowych. Nie brakowało i momentów psychologicznych, które jako charakterystyka głównych a posepnych figur procesu budziły zainteresowanie. Przyczyniło się do tego oczywiście nowe stanowisko zajęte przez Damazego, w stosunku do Heleny, który podczas rozpraw w pierwszej instancji przy każdej sposobności usiłował bronić swojej bratowej: „Nie widziała —





Bazyli Olesiński

Damazy Macoch

J. Starzewski

Helena Krzyżanowska (Macochowa).



mówił ręce składając—skąd czerpałem pieniądze zawsze była bezinteresowna, nigdy odemnie niczego nie żądała—wszystkie winy po mojej stronie, ją zaś na ławę oskarżonych zawiódł fatalny zbieg okoliczności“.

I ta obrona kobiety, dla której popełnił zbrodnię najohydniejsze, na które zdobyć się mogła tylko najprzewrotniejsza natura, pozwalała mniemać, że jednak na dnie kalekiej duszy tego przestępcy tli się jakaś błada iskierka ludzkości...

Dziś wyznaje, że jego usprawiedliwienie Macochowej było kłamstwem od początku do końca, że pokochał Helenę miłością ślepą i zgadzał się na wszystkie jej żądania. Zamknąwszy oczy, szedł jak zahypnotyzowany, drogą, którą wiodła go Helena. Była to pierwsza miłość w jego życiu mając nadzieję że zdoła uchronić Helelę przed karą, wszystkie winy brał na siebie.

Ale postanowieniu Macocha zabrania tajemnicy do grobu, sprzeciwia się dusza Wacława... Ona trapi go w snach i coraz częściej żąda, aby przestępca wyznał całą prawdę przed sądem.

I dlatego postanowił być posłusznym snom oraz zjawom i przynieść ulgę swojemu sumieniu.

Tak brzmiał dosłownie motyw, który skłonił Damazego do złożenia nowych zeznań.

Zaznaczywszy jeszcze raz, że Wacława zabił w zapalczywości i wściekłości, wspomina nawiasem, że już przedtem Helena zabiła Wacława moralnie. Zaślubiwszy Wacława, nie przestała narzucać się Macochowi listami miłosnymi, w których między innymi wyrażała swój wielki żal z powodu zawartego związku, a przy widzeniu się z Damazym wyrzekała na brutalne postępowanie Wacława, że tenże tyranizuje ją i uważa za swoją sługę.

Starala się obudzić w Damazym nienawiść i mściwość względem Wacława, opowiadając, że grosi mu spoliczkowaniem i obraża go słowami, pomimo tego i wielkiego zdenerwowania Damazy usiłował wytworzyć harmonię pomiędzy małżonkami i w tym celu zaprosił Wacława do klasztoru.

Bardzo ciekawe zeznania złożył Damazy, odnoszące się do faktów, które nastąpiły po zabójstwie.

„Helenę Macochową mówi podsądny nie-

zwłocznie po dokonaniu nieszczęsnego zabójstwa, zawiadomiłem i wskazałem, gdzie trup się znajduje, to jest, że był wywieziony.

Po zabójstwie w środek Helena przyjechała do Częstochowy i śledziła bieg dochodzeń śledczych; wręczyłem jej wtenczas obrączkę ślubną i pierścionek zaręczynowy, oraz oddałem pasport. Po ukazaniu się fotografii Wacława w jednym z pism ilustrowanych Helena kupiła takowe i pokazując mi zauważyła, że mąż jej nie bardzo zmienił się po śmierci i z łatwością można go poznać. Radziła mi, ażebym jak najprędzej wysłał Załogą do Ameryki, sam zaś zawiadomił władzę, że on spełnił zabójstwo; ale nie zgodziłem się na to.

Śmierć męża nie wywarła na niej wrażenia. Przyznała, że wszystkiemu ona jest winna, gdyż Wacław miał słuszność; na duszy jej były dwa życia; takie życie jest przyczyną wielu nieszczęść.

Namawiała mnie, ażebym czerpał jak najwięcej pieniędzy, za które mogłaby kupić sobie kamienicę.

Przed sprawą w pierwszej instancji groziła mi, że jeśli nie stanę w jej obronie, powiesi się na kracie okiennej.

Helena w miłości była artystką, umiała kochać gorąco, maskować się i płakać na zawołanie, okazywać żal i zapewniać o swojej niewinności.

Z pozostałych oskarżonych jak Helena Macochowa, Starczewski i Bazyli Olesiński nic nowego nie wypowiedzieli, zaprzeczając temu, co mówił Damazy, odpierając zarazem stawiane im zarzuty wymienione w akcie oskarżenia.

Po mowie prokuratora Niedźwiedzkiego, zabrała głos obrona w osobach adwokatów: pp. Kleyna (D. Macocha), K. Rudnickiego (Starczewskiego), Chądzyńskiego i Czermińskiego (Olesińskiego), Firsta (Heleny Macochowej) Nowickiego.

Sąd udaje się na naradę i po 2 godzinach wynosi wyrok, mocą którego Damazy Macoch, Izidor Starczewski i Helena Macochowa skazani zostali na pozbawienie wszystkich praw i przywilejów i zesłanie do robót ciężkich: Damazy na 15 lat, Starczewski 8 lat, Helena 6 lat bez prawa powrotu do kraju.

Bazyli Olesiński na pozbawienie praw i oddanie do rot aresztanckich na 3 lata.



Cyganowicz i Pertkiewicz od odpowiedzialności sądowej zostali uwolnieni.

Wyrok co do księży: Damazego Macocha Starczewskiego i Olesińskiego postanowiono przedstawić do zatwierdzenia Najwyższego.

Koszta sądowe zapłacić mają Macoch, Starczewski i Olesiński, o ileby zaś nie byli w możności, ściągnąć z majątku przynależnego Helenie Macochowej.

Wszelkie pieniądze w gotówce i książeczki

wkładowe na imię Heleny Macochowej przechodzą na własność jej rodziny.

Wyrok w ostatecznej formie odczytany został w Piotrkowie w dniu 1 grudnia st. st. roku 1912.

Wyrok na Helenie Macochowej wywarł silne wrażenie, prawie omdlała, wyprowadzi ją z sali do pokoju dla podsądnych adw przys. First.

Wyroku podobnego nie spodziewali się i sami obrońcy.

## 50 LECIE SZKOŁY GŁÓWNEJ.

Wielopolski pozostawił jedno dzieło, które nie może być kwestyonowane przez współczesność—to Szkoła główna. Przez kilka lat swojej egzystencji zaważyło ono bardzo na kulturze naszego kraju. Wychowała najprzedniejsze umysły naszej epoki, obudziła niejedno drzemiące serce, ukoilią niejedną duchową ciekawość.

Rektorem szkoły był mianowany Józef Mianowski. Otworzono ją dnia 25 listopada

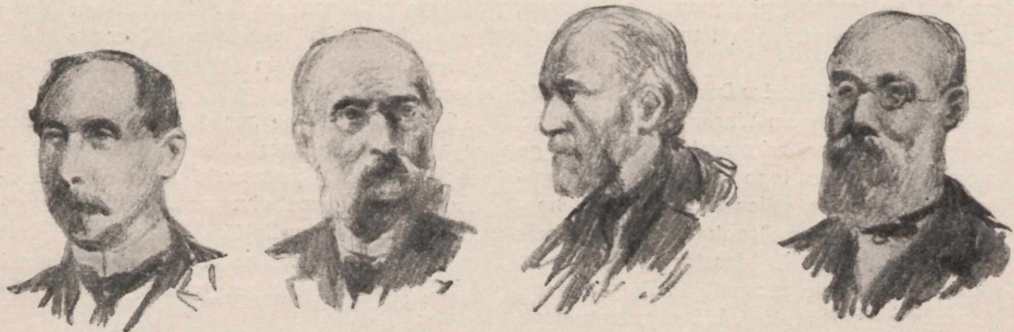
1862 r. Na otwarciu nie był obecny ani W. Książę Konstanty, ani naczelnik rządu cywilnego margrabia Wielopolski. Zagaił posiedzenie radca stanu, dyrektor Komisji wyższej i oświecenia Kazimierz Krzywicki.

Szkoła główna posiadała wydziały: 1) prawa i administracyi, 2) medycyny, 3) filologiczno-historyczny, 4) matematyczno-fizyczny. Większość profesorów już wymarła. Zastajemy jeszcze żyjących: prof. Ignacego Baranowskiego, Benedykta Dybowskiego, Teodora Dydyńskiego, Władysława Holewiń-



*Ks. Stef. Pawlicki*

*Roman Wewnikiewicz*



*Jul. Kosiński*

*Antoni Krzyszko*

*Wład. Okęcki*

*Walenty Miklaszewski*



skiego, Juliana Kosińskiego, Antoniego Krzyskę, Walentego Miklaszewskiego, Władysława Okęckiego, Ks. Stefana Pawlickiego, Zdzisława Skłodowskiego, Romana Wewnikiwicza. Imiona ich zapisane są złotymi zgłoskami w historii ostatnich lat 50.

Towarzystwo naukowe warszawskie obchodziło dzień jubileuszu tej polskiej „Alma Mater“ nadzwyczajnym zebraniem. Zagaił je Józef hr. Potocki. O znaczeniu zaś szko-

mnienie o tobie, jak drogocenny skarb naszego dorobku umysłowego i moralnego.

Niech pamięć twoja promienieje cnotą po przcz wieki.

## ZAMACH MADRYCKI.

W Hiszpanii padł strzał z ręki anarchisty Pardinasa, który położył trupem prezesa ministrów hiszpańskich Canalejasa-



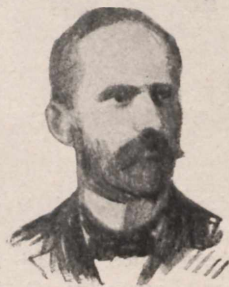
Ign. Baranowski



Bened. Dybowski



Teod. Dydyński



Wład. Holewiński.

ły Głównej warszawskiej w rozwoju umysłowym i nauki polskiej—mówił Bronisław Chlebowski. Szkoła Główna, jak wiadomo, istniała przez lat 7. (1862-1869). Wychowała takich synów ojczyzny, jak Bolesław Prus i Maks Gierzyński. Już te dwa nazwiska mówią, jakie krzewiła uczucia, jakie hodowała umysły!

Z żalem więc serc mówimy patrzeć w tę ubiegłą przeszłość, że nie sądzono było Szkołę główną istnieć dalej. Może gdyby istniała—kraj nasz nie byłby żarty przez ciemnotę i obłudę, jakto ma miejsce obecnie.

Wracamy więc, „Szkoła Główna“, do twoich progów pełni wdzięczności i miłości za trudy, które położyłaś dla ziemi ojczyznej.

Nie zapomną Ci nigdy twych zasług twoje wnuki i prawnuki. Pielęgnować będziemy wspo-

Canalejas był zwolennikiem partii liberalnej, odznaczył się, jako adwokat i deputowany. Wielką jego zasługą jest, że umiał w klerykalnej i fanatycznej Hiszpanii przeprowadzić prawo tolerancyjne dla innych wyznań.

## JUBILEUSZ WŁADYSŁAWA ŻELEŃSKIEGO.

Twórca „Janka“ „Goplany“, pieśniarz naszych rodzinnych smutków i niedoli obchodzi w miesiącu bieżącym Złote gody swojej pracy. Każdy z Polaków zna prawie jakąś melodyę, zna te struny, na których grał Żeleński.

W niemuzykalnej Polsce praca artysty-muzyka jest bardzo niewdzięcznym polem. A jednak mimo całą trudność, mimo ciężkość Żeleński miał wytrwać na swoim stanowisku. Kraków,



Medal pamiątkowy wybitny w 50-lecie Szkoły Głównej, wykonany przez C. Makowskiego.







Następca Canalojosa



Hel. Narbuttówna



Dr. Paweł Segond.

w którym zamieszkuje nasz poeta tomów obdarzył go tytułem honorowym. Uczciła go Wszechnica Jagiellońska, przesłały swe życzenia wszystkie zakątki naszej ziemi.

Żeleński opowiada bardzo ciekawy szczegół ze swego życia. Gdy wrócił z Paryża usłyszał po raz pierwszy „Halkę” Moniuszki i pobiegł za kulisy, by podziękować mu za uświadomienie polskości w muzyce. Był tak wzruszony, że pocałował Moniuszkę w rękę.

Takie były jego zaślubiny ze sztuką polską. Przez lat 50 wiernie pracował nad zbogacaniem jej skarbów.

Naród mu tego nie zapomniał.

Nie zapomni mu historia sztuki jego wysiłków i trudu!

Ile zaś melodyi wsączy się w duszę zbiorowości—tyle wyrośnie z niej laurów na głowę Szanownego Jubilata

## ŚMIERĆ PAWŁA SEGOND

Jeden z najznakomitszych chirurgów świata, doktor Paweł Segond zmarł w Paryżu na uremyę. Doktor Segond był profesorem kliniki chirurgicznej przy fakultecie medycyny i głównym kierunkiem szpitala „Salpêtrière”.

Prace naukowe jego się bardzo licznie i wysoko cenione przez koła naukowo—medyczne.

## JUBILEUSZ STANISŁAWA SZCZUTOWSKIEGO.

40 lat pracy dziennikarskiej!

Czy masz wyobrażenie, czytelniku, ile to przeżyć, wstrząśnień, nadziei i... rozczarowań? Czy wiesz, jak żelazne trzeba mieć nerwy, by tak przez czterdzieści lat dzień w dzień wyteżnie i pilnie patrzeć w nurt przyływów i odpływów życia?

Stanisław Szczutowski należy do starej, wypróbowanej gwardji dziennikarzy, która z honorem broni społecznego znaczenia, jakie może mieć w swoim narodzie dziennikarz. Gardzi on „kaczkami”, gardzi sztuczną, niepotrzebną sensacją. Jako informator polityczny—jest wprost niezastąpiony. Nigdy nie sugeruje czytelnikowi urojonych zatargów ani zajęć, daje tylko fakty.

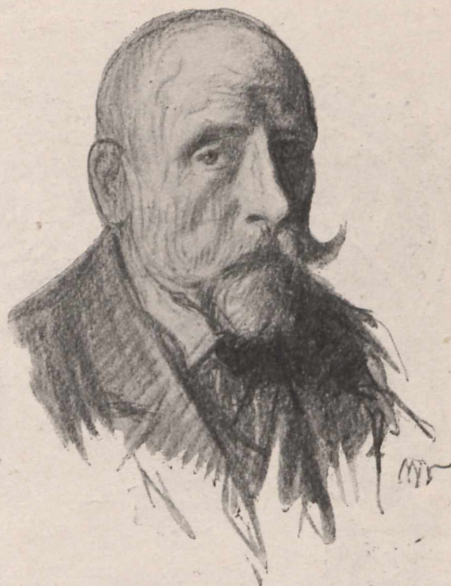
W Warszawie Szczutowski pracuje od 1878 roku. Jako dziennikarz odbył swój „termin” w Poznańskim. skąd wydalili go rząd pruski, następnie przez czas jakiś zasilał swojemi pracami dzienniki galicyjskie. W Warszawie pisał w Tygodniku Ilustrowanym, Nowinach, Tygodniku Powszechnym, Kuryerze Cadziennym. Obecnie pracuje w „Kuryerze Warszawskim” gdzie od lat wielu prowadzi dział polityki zagranicznej.

W dniu jubileuszu składa i „Miesiąc Ilustrowany” swoje serdeczne życzenia. Niech nam jeszcze długie lata z pożytkiem pracuje! Rzadko bowiem tak sumiennego, politycznego informatora spotkać można w prasie.





Jubilat Wł. Żeleński;



Jub. Stanisław Szczutowski.

Popis uczenic szkoły śpiewu Maryi Sobolewskiej d. 23 list. w ratuszu. Szkoła p. S. ma kilka wybitniejszych sił w gronie swych uczennic, których grupę podajemy tutaj. Popisy, w obec licznej publiczności wypadły bardzo interesująco.



B. Cathlin  
sop. liryczny.  
J. Staniszevska  
sop. dramatyczny.  
A. Lewkowicz  
sop. liryczny.

R. Żyziemska  
sop. koloraturowy  
M. Markowska (alt)  
Marya Poraska (Alita)  
mezzo sopran dramatyczny  
L. Bieniecka  
sop. dramatyczny

M. Stagińska  
sop. koloraturowy  
L. Krywicka  
sop. liryczny  
M. Rymkiewiczówna  
Mezzo-sopran.



**ZNIWO** **SP** **ŚMIERCI**



*Dr. Jaa Sznabl*



*Canalejas*



*Stan. Ciuchciński.*



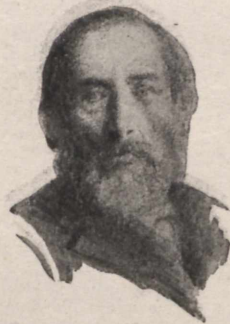
*Ar. Karol Lewakowski*



*J. Wieniawski*



*Kanoniczka Biedrzycka*



*Stanisław Krzemiński*



## Ś. P. KAROL LEWAKOWSKI

Dnia 13 b. m. zmarł w Rapperswilu były poseł do parlamentu austriackiego i adwokat krajowy Karol Lewakowski. Urodzony we Lwowie w r. 1890, wykształcenie odebrał w rodzinnym mieście. Tu też zdobył doktorat prawa i otworzył kancelaryę adwokacką. W roku 1884 został po raz pierwszy posłem do parlamentu wiedeńskiego, lecz w 1889 roku mandat złożył, gdyż nie mógł współpracować ze stańczykowskim kołem polskim. W 1891 roku wrócił do parlamentu, pasował się znów ze stańczykami, wreszcie za „złamanie solidarności“ został wykluczony z koła w r. 1896. W rok później wycofał się z działalności parlamentarnej na zawsze.

Wraz z pp. Wyslouchem i Stapińskim należał dr. Lewakowski do założycieli Polskiego Stronnictwa Ludowego i był przez pierwsze lata jego prezesem.

Kilka lat temu opuścił kraj i wybudował w Rapperswilu willę, nazwaną „Snopków“, do której zaglądali często goście z Polski. Był członkiem Rady „Skarbu narodowego i członkiem Rady zawiadowczej Muzeum rapperswilskiego“, około którego rozwoju położył wiele zasług.

Dr. Lewakowski był człowiekiem wielkiej prawości osobistej i szczerych przekonań patriotycznych, przywiązany do ideałów dawnej demokracji polskiej. W epoce wsechłwładcy stańczyków, postać jego odbijała szlachetnie na tle stęchlizny ówczesnych stosunków galicyjskich.

## Ś. P. JOZEF WIENIAWSKI

Niedawno odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku Juliana Wieniawskiego, a teraz znów rzucamy garść ziemi na trumnę jego brata Józefa.

Wieniawski urodził się w 1837 r. w Lublinie. Pierwsze wykształcenie w grze fortepianowej otrzymał od matki, która była siostrą znakomitego muzyka Edwarda Wolffa.

Po licznych podróżach artystycznych, osiadł na pewien czas w Moskwie, później był dyrektorem Tow. muzycznego w Warszawie.

Przed trzydziestu laty wyjechał z Warszawy i osiadł w Brukseli, gdzie jako profesor konserwatorium i wirtuoz cieszył się wysoką powagą.

## Ś. P. Dr. JAN SZNABL

Głośny i ceniony w świecie naukowym entomolog ś. p. dr. Jan Szabl do końca życia był naszym lekarzem miejskim. Ogłosił kilkanaście rozpraw lekarskich, głównie z dziedziny chorób dzieci.

Urodził się on w 1838 roku w Warszawie.

W 1864 roku został lekarzem. Był protektorem przy katedrze anatomii porównawczej w Szkole Głównej do 1869 r., a przez kilka lat następnych wykładał nauki przyrodnicze, w IV gimnazjum męskim i III żeńskim.

W roku bieżącym wydał po niemiecku w Halli wspólnie z dr. H. Dziedzickim „Atlas entomologiczny“, który został przyjęty bardzo przychylnie przez specjalistów.

## I. P. STANISŁAW CIUCHCIŃSKI

b. prezydent miasta Lwowa.

Z zawodu był blacharzem. Miał warsztacik, który później rozrósł się w fabryczkę, ale go nie pozostawiał ani na chwilę, choć później dorobił się znacznej fortuny i zdobył wysoką godność prezydenta miasta Lwowa. Była to postać niezwykle popularna, jednała sobie sympatyę wszystkich, gdyż promieniowała prawością, patriotyzmem i chęcią służenia dobrej sprawie. Rok 1863 zapędził Ciuchcińskiego do szeregów, z których wyszedł cało i z honorem.

Pogrzeb jego odbył się na koszt miasta. Tłumy towarzyszyły mu do grobu, gdyż każdy był mu wdzięczny, że umiał strzedz i bronił polskiego charakteru Lwowa. Przeżył lat 69.

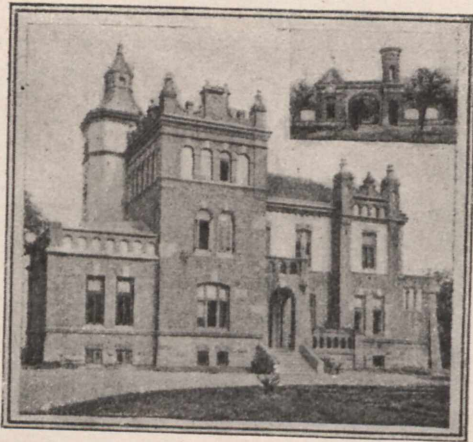
Niech go utulą ziemi polskiej równiny dalekiej!

Niech mu nad grobem wyciągnie swe ręce nadwiślańska płaczka-wierzba rosochata!

## Ś. P. STANISŁAW BR. GRAEVE

W pełni sił żywotnych zeszedł z tego świata jeden z ofiarnych, cichych i zasłużonych pracowników na ziemi naszej rodzinnej Stanisław Graeve. Broszury jego zaznajamiające ogół z historią naszą—należą do cennych zasług na polu popularyzacji wiedzy. Najważniejsze jednak, co zrobił ś. p. Stanisław Graeve, to etnografia ziem polskich. Szczególnie jego wielkie dzieło. „Mapa Gubernii Kaliskiej“ zasługuje na wielkie uznanie.





Pałac w Biskupicach



Ś. p. bar. Stan. Graeve

Poza pracą naukową ś. p. Graeve należał do inicjatorów prawie wszystkich poczyniń społecznych, jakie ostatnimi laty zawiąły w kaliskiem. Założył dla dobra chłopów fabrykę wyrobów betonowych i dachówek.

Zmarły był właścicielem Biskupic. Ostatnio piastował godność prezesa kaliskiego towarzystwa krajoznawczego. Pozostawił po sobie szczerzy żal. Niech mu ziemia rodzinna nie zapomni jego czynów cichych, lecz trwałych. Warto by do Biskupic urządzić wycieczki krajoznawcze. Wiele można się nauczyć w pokojach tego pałacu. Niemal każda stancya została przetworzona na archiwum naszych zabytków etnograficznych.

Muzeum założone przez Graevego w Kaliszu—służyć tu może za doskonały przyczynek do zrozumienia twórczości naszej narodowej.

Zwłoki ś. p. Stanisława barona Graevego spoczęły w grobach rodziny w Charlupi. Cześć pracowitemu duchowi! Cześć zastugom obywatelskim.

Ś. P. PROF. ANTONI BIAŁECKI

Zaledwie kilka dni brakowało, by ś. p. prof. Antoni Białeckie mógł w gronie dawnych uczniów i przyjaciół przeżyć jubileusz b. Szkoły Głównej. Był on przecież jednym

z profesorów tego światłodającego Zakładu.

Urodził się on w 1836 roku, kształcił się w Krakowie. Oddawał się z zamiłowaniem studjom archeologicznym, następnie zamieszkawszy w Petersburgu brał udział w słynnym wydawnictwie „Volumina Legum“.

Po zamknięciu Szkoły Głównej wykładał prawo międzynarodowe w Uniwersytecie Warszawskim. W roku 1887 usunął się ze stanowiska profesora Uniwersytetu. Później brał udział w pracach „Tow. Osad rolnych“.

Ś. P. STANISŁAW KRZEMIŃSKI

Garść ziemi rodzinnej rzuciliśmy na trumnę Stanisława Krzezińskiego. Kilka tysięcy ludzi stanęło nad grobem, by oddać cześć szczątkom człowieka, co przeszedł przez życie, jak świetlany meteor idealizmu, pracy i poświęcenia. Zmarł on w 73 roku, w 50 lecie tragicznej rocznicy zawieruchy, która szalała w kraju naszym. Już wtedy wysoko umiał trzymać sztandar honoru ojczystego, już wtedy piastował godności, które dostają się najlepszym w narodzie.

Cześć pracy, co krzesiła przez pół wieku ogień idealizmu!



# Wydawnictwa Gwiazdkowe



Książka jest jednym z najkulturalniejszych prezentów. Raz kupiona może służyć pokoleniom za przedmiot nauki i rozrywki. Nie dziw więc, że w czasie przedświątecznym zwiększa się sprzedaż nowości książkowych. Dla starszych, rozumie się, przez cały rok zjawiają się na półkach księgarskich nowości. Ale nie ma co mówić, przed Bożem Narodzeniem nawet książki poważne zjawiają się liczniej.

Gdy jednak chodzi o książki dla dziatwy i młodzieży — to przez cały rok nie widać nowych wydawnictw. Co księgarnie wydadzą przed Bożem Narodzeniem — już przez cały rok jest „nowością”. Dobrze jest więc zapoznać się z książkami dla młodzieży, które teraz zjawily się na rynku. By ułatwić orientację, rozdzielię wydawnictwa na polskie i tłumaczone.

## AUTORZY POLSCY.

Na samym wstępie trzeba powiedzieć, że w roku bieżącym uhonorowano autorów polskich, gdyż stanowią oni większość w całym nakładzie. Dla młodocianej rzeszy pospieszylili ze swoim natchnieniem znani renomowani pisarze.

Dzieci i rodzice powinni być zadowoleni; mają bowiem w czem wybierać.

*Kazimierz Gliński* dał prześliczny tom *Bajek*. Gustownie oprawnie, bogato ilustrowany tom ten stoi na poziomie najwyższych wymagań wydawniczych. O treści nie trzeba wspominać. Pisał ją przecież znany i uznany poeta. Zainteresuje ona napewno młody ludek, a i starszym da wiązanekę wzruszeń miłych i estetycznych.

*Janusz Korczak*, znany przyjaciel dzieci, opowiada na ten raz pouczającą opowieść o „Sławie”. Książka ta jest wzrusza-

jąca w swojej prostocie. Wyrosła ona z dna nędzy, ale kwiaty jej bujne i ludzkie wyrosnąć mogą na fundamentach, które ona wznosi. Wydawnictwo arcyproste i arcywytworne.

*Leon Gboromański*, wykwintny nowelista, pisarz o zachodniej, głębokiej kulturze, na gwiazdkę dzieciom przyniósł „*Dziwne przygody*”. Bajki te w opracowaniu Choromańskiego wieją poezją i czarem. Szczególnie ta, co o królownie Słodkomirze, śni się małemu Adasiowi, ma przedziwny urok. Choromańskiemu tomiku tego należy szczerze powinszować. Wydanie piękne.

*Bolesław Leśmian*. Klechdy Sezamowe. Ilustracje E. Dulaca.

Czy dadawać, że bajki tysiąca i jednej nocy w polskiej transkrypcji są piękniejsze od oryginału? A przytem wydanie luksusowe!

*Feliks Jablczyński*: U stóp Panteonu Grecya żyje pod piórem utalentowanego pisarza. Młodzież wdzięczna mu będzie, że tak barwnie skreślił jej obyczaje, jej troski i radości.

*Aleksander Szczęsny*: Kolorowe okienko. Poeta wykwintny wraz z malarzem Ejchlerem — stworzyli tomik zwiewnych bajek, które napewno zostaną w literaturze. Radzimy je przeczytać nawet starszym!

*Edmund Jezierski*. Zwycięzcy bieguny. Książeczka ta jest bardzo pouczająca. Dla młodzieży do lat 12 jest wprost skarbem. Któż bowiem z nas nie marzył o bohaterstwach podróżniczych w tym wieku?

*Zofia Rogoszówna*: Wesoly ludek. 12 obrazków dla dzieci. 6 letnie pociechy będą miały wielki dzień radości, gdy obejrzą



książkę p. Rogoszówny. Byle tylko dobra niania przeczytała ją należycie — a zapamiętają treść na całe życie P. Rogoszówna posiada niezwykle dar zainteresowywania nie tylko dzieci.

*Bronisława Włodkówna* (Julcia). (Rysunki Z. Badowskiego.) powieść dla młodzieży. Wydanie skromne lecz gustowne. Powieść fantastyczna, godna by ją czytały 12 letnie dziewczęta i 14 letni chłopcy.

*A. Grudzińska*. Mnich: Powieść historyczna z czasów Ryksy i Kazimierza odnowiciela. Takich powieści dla młodzieży brak! Historia bowiem powinna być mistrzynią serc młodych i prawych.

*Jadwiga Warnkówna*: Władzio nad morzem. (Opowiadanie dla dzieci od lat ośmiu.) Wydanie gustowne.

*Zofia Urbanowska*. Cudzoziemiec (opowiadanie). 10 rysunków w tekście.

*Ewa Toporczykówna*. Dzieciarnia. (Powiastki dla małych dzieci.) Wydanie bardzo gustowne.

*Władysław Umiński*: „W krainie wschodzącego słońca. Książka oddająca z nieporównaną werwą i malowniczością życie dzieci japońskich w formie niezmiernie ciekawego opowiadania z rysunkami bardzo charakterystycznymi.

*W. Umiński*. Synowie Puszczy. Jestto robinzonada chłopców, chowających się w puszczech litewskich. Niezmiernie ciekawe opowiadanie.

*Walery Przyborowski*: „Bóg mi powierzył honor polaków“. Niezmiernie interesujące opowiadanie młodego krakusa o księciu Józefie, bohaterze narodowym. Doskonałych 8 rysunków St. Bagińskiego wypełnia całość.

*Stanisław Ostrowski*. Śladami legionów. Niesłychanie ciekawy obraz pochodów legionów polskich z 10 rysunkami znanego ilustratora St. Bagińskiego.

*Eugenia Żmijewska*. Jutro. (Powieść współczesna). Powieść zasługuje, by była przeczytaną i przez starszych.

*M. Massoczówna*. Młodość poety. Barwne opowiadanie na tle jubileuszowym roku 1812 i o urodzinach Zygmunta Krasieńskiego. Rzecz bardzo pedagogiczna.

Staś i Jasiak ich figle i psoty. Dla

dzieci skarb nieoceniony. Barwne wielkie rysunki i przygody wprost bajeczne.

*Miś i Kizia*. Dla dzieci do lat 8. Barwne plansze.

*Owoce i dzieci*. Barwny zeszytik.

*Al. Leśniewska*, Entuzjastka. Śliczna powieść dla młodzieży z niedalekiej przyszłości i Zwłaszcza dla pańienek zajmująca.

## GWIAZDKA DLA STARSZYCH.

*J. Lorentowicz*.: Polska pieśń miłosna. Gruntownie i bogato opracowane dzieje poezji erotycznej w Polsce i wydano je wraz z reprodukcjami z najsłynniejszych obrazów, których tematem miłość. Wydanie przytem nadzwyczajne.

*Pan Wąsik i jego towarzysze* Dla małych milusińskich.

*Sambo i jego przyjaciel*. Dla milusińskich. Kartony kolorowe.

## AUTORZY CUDZOZIEMSCY.

*Mayne Reid*. Zdzieracze czupryn. Dzieje Dzieje oskalpowanych czerwoskórych do dziś dnia przypominają nam marzenia naszej młodości. Dajmyż więc i dzieciom naszym skosztować z tego puharu przedziwnej poezji.

*Anna Montgomery*. Jur. (przekład C. Kurzerówny.) Książka ta wprawdzie o dziejach angielskich opowiada, ale za interesuje też naszych milusińskich. Niech już w młodości zawrze alians „powieściowy“, może w wieku dojrzałym nie będą sobie wyrzucali, że byli za mało... anglikami

*Oskar Wilde*. Opowiadania. Jeden z największych poetów Anglii poezye swoje dla młodzieży do usług oddaje. Czytajcie więc jego „Rybaka“ jego „Słowika i orla“ i uczcie się kochać piękno,

*C. Collodi*. Przygody pajaca, (z włoskiego.) Niezmiernie pocieszna książka. A jaka wesola!

*H. Malot*.. Roman Kalbris. Przygody fantastyczne młodego chłopca. Wysoce pouczająca i umoralniająca opowieść. Powinna się znaleźć we wszystkich bibliotekach szkolnych.

*K. May*. „Karawana Niewolników“ obrazkami. Nader interesująca książka dla chłopców.



Dr. Ernest Candèze. Przygody świerzcza. Bardzo interesujące opowiadanie. Wydanie bardzo piękne.

Gdy przejrzymy spis rzeczy, który wyżej podałem, przyjdziemy do przekonania, że jest w czem... wybierać. Choć właściwie—niema w czem, gdyż wszystkie książki zasługują, by je przeczytały małe nasze kochane skarby. Oby tylko rodzice ze-

chcieli im nie skąpić tego bajecznego pokarmu dla fantazyi, wyobraźni wreszcie i oczu. Bo niektóre książki są tak wydane, że zazdrość nas chwyta czemu dla dorosłych drukuje się tak szaro i nudnie.

Autorzy polscy dali dzieciom podarunki swoje — niech teraz rodzice zechcą o tych darach pamiętać.

## Co należy przeczytać

MARYA PORASKA (Alita) HELVETIA (poezye) str. 202. Kraków, 1912.

Cały tomik poświęcił p. Poraska zachwytom nad turniami i dolinami Szwajcaryi. Poeci chętnie opisują jej czary, głośno mówią o jej cudach. Bo i jak że nie zachwycać się żywą runią dolin alpejskich, jak nie czcić dziewiczej bieli śnieżnych szczytów?!

Zachwyt p. Poraskiej jest zupełnie zrozumiały i rozumem też jej tęsknotę do szczytów.

„Nic mnie tak z wami nie łączy o, skały  
Jak śniegów waszych nieskalana czystość  
I bładych jezior nadziemską przejrzystość  
Wpatrzona w nieba mglisty tuman biały“.

W taką strofę ujmuje p. Poraska uczucie swojej łączności, swojego powinowactwa z przyrodą alpejską. Tomik jej poezyi jest niemal Baedekerem w górach, dolinach i jeziorach. Tytuły wierszy brzmią: Nad Le-manem, Ile de la Paix, Faulenvec, Nad jeziorem Briena, to znów na Axenstrasse, w dolinie Lutcohiny, na Grindelwaldzie. Nawet galerie obrazów, które się znajdują w Szwajcaryi, dostąpiły tego zaszczytu, że zajmują specjalny rozdział w tomie p. Poraskiej.

Wszystkie te poezye, widzimy więc, były pisane planowo. Nie zawsze jednak udaje się wykrześć natchnienie, gdy z góry jedzie się po to, żeby je mieć. Nie dziw więc, że...

niektóre wiersze grzeszą chłodną retoryką. Obok jednak tych retorycznych znaleźć można rzeczy odczute, proste, artystyczne. Nie znaczny to jednak, by w plastyce swojej dawały coś oryginalnego, coś indywidualnego. Pani Poraska widzi świat przez kulturę umysłową, przez dorobek uczuciowy pokoleń przeszłych. Nie stać ją przeto na ujęcie bezwzględnie osobiste, na wskroś indywidualne. W jej zachwytach słyszy się echa pieśni dalekich, w jej obrazowaniu płaszczyzny i kształty są wielokrotnie powtarzane.

Pomimo to jednak, wiersze p. Poraskiej należą do rzeczy udatnych i, jak na pierwociny literackie, zupełnie dobrych. Najlepiej udają się p. Poraskiej wiersze zamknięte w formie sonetowej, choć wiersz biały, czterowiersz brzmią też czysto pod jej ręką. Rymy poprawne; polowania za wyszukanością tak zwykłego w czasach obecnych—nie znać. I to lepiej! Wskazuje bowiem p. Poraska, że nietylko o rym jej chodzi. Gdy młody poeta posiada większe dążenia, niż poszukiwania niezwykłego rymu — świadczy to, że do pieśni swojej idzie od wnętrza, od strony przeżyć, myśli, radości, a więc treści. A wiemy, że pozostaje w literaturze tylko to, co rodzi się z treści.

E. C.



# HUMOR

## TELEFON

(Przyczynek do dziejów martyrologii XX-go stulecia).

Panny Ziutka i Tutka nie mają co robić, a raczej mają właśnie najwolniejszą godzinę z pomiędzy dwunastu wolnych godzin dnia. Zmrok zapada...

Sluchawka telefonu tak nęcąco błyszczą się przy ścianie...

Ostatecznie trzeba się bawić, jak można...

Telefonistka posłusznie łączy....

Trrr...

— Czy to firma Icek Aron Pantofel?

— Jo, jo..

— Proszę poprosić pana Pantofla.

— Un bardzo zajęty,—un ma klient... Co jest?

— Bardzo ważny osobisty interes...

— Un już idzie...

(Chwilka ciszy—potem zdyszany głos)

— Salcie! czego ty mnie zawracasz z głowem?

— Czy to pan Pantofel?

— Jo, jo!... Psiepraszam, ja myślał, co to moje córke... Kto mówi?

— Czy u pana można obstalować kocioł parowy?

— Kociu! jaki kociu!

— Zielony...

(W prążki—dopowiada panna Tutka).

— Zielony w prążki...

— Jakie prążki... Pani potrzebuje się mili! Tu nie jest kociu! — tu jest hurtowe skład śledzie! Aj, waj! Coby te telefonie zdechło!!

Panna Ziutka zanosi się od śmiechu.

— Teraz ja! — woła z zazdrością panna Tutka.

I rozpoczyna szukanie w skorowidzu.

— Telefonuj do prywatnego mieszkania...

— Dobrze... Naprzykład, pan Hilary Kłapęczkowski...

— Musimy się naprzód dowiedzieć, czy jest żonaty...

Trrr...

— Czy jest żona pana Kłapęczkowskiego?

— Jestem przy telefonie.

— Ach, tak... Czy zastałam męża pani?

— Mąż mój w tej chwili wyszedł... A kto mówi?

— Znajoma...

— Znajoma?! — Czy można wiedzieć, co pani ma za interes?

— Chciałam mówić z mężem pani... Ja zatefonuję później...

(Rozmowa przerwana. Pani Kłapęczkowska odchodzi od telefonu nieco podrażniona).

W tej chwili we drzwiach staje pan Kłapęczkowski.

— Mój drogi, co to za „znajome“ telefonują tu do ciebie?

— Do mniez...

— Właśnie. Jakiś słodki głosik mówił przed chwilą...

— Ależ duszko...

— ...I dopytywał się, czy jest w domu — żona! To formalnie oburzające!...

— Ależ zareczam ci...

— Dobrze, dobrze. Wam właśnie można wierzyć!

O, ja nieszczęśliwa!

(Pani Kłapęczkowska pada na kanapę—pan Kłapęczkowski załamuje ręce z osłupieniem).

Teraz przychodzi kolej na jednego ze scenicznych ulubieńców publiczności.

Trrr...

— Kto mówi?—zapytuje zgnębnym głosem



sem „świetny i niezrównany“ wykonawca tej lub owej roli.

— Panie... — odzywa się mdlejący głosik. Wczoraj... widziałam pana na scenie... Jestem wprost zachwycona...

Milczenie.

— ...Pan jest taki ładny...

Tu „świetny i niezrównany“ porywa się ruchem dręczonego zwierza w klatce.

— Wiem, że jestem ładny!!— woła z wybuchem nadludzkiej rozpaczki. Ale niechże pani zostawi mnie w spokoju. Panie chcecie mnie chyba na śmierć zamęczyć!!

I z wściekłością rzuca słuchawkę na widelki.

— Zdejmę już,—każę chyba zdjąć telefon—jęczy obejmując skronie rękoma.

Trrr...

— Czy sklep kolonialny pana Wyrtkiewicza?

— Tak jest.

— Proszę zanotować obstalunek, tylko prędko!

— Sługa pani dobrodziejki...

— Dziesięć funtów herbaty, — trzy pudry mączki cukrowej, beczka sardynek, pół kopy fig smażonych...

— Czego... czego?...

— Fig smażonych! Dowidzenia!

(Pryncypał zbliża się szybko do nowicyusza)

— Kto telefonował?

— Z ob... obstalunkiem...

— Na co?

— ...Pół... pół kopy fig smażonych...

— Czyś pan zwaryował! Adres?...

— ...Nie powiedziała...

— Święci pańscy! Że też pan nawet telefonu przyjąć nie potrafisz!

Trrr...

— Proszę,

— Czy to pan Rydz?

— Ja jestem.

— Mówi N i c... Żegnam pana.

Trrr...

— Słucham.

— Czy to mieszkanie pana P...skiego?

— Nie, pani.

— Ach, przepraszam,—to omyłka!

— Co za błogosławiona omyłka...

— Dlaczego?..

— Bo mam przyjemność słyszeć głosik pani...

— Głos nie mówi jeszcze o osobie...

— Jestem pewien, że i osoba jest zachwycająca...

— Ach, pan się myli...

— Założę się, że nie. Zresztą postaram się spotkać panią...

— O! a jeśli ja nie pozwolę?...

— Postaram się, mimo to... Ale pani pozwoli, prawda? Kiedy się spotkamy?

— No... jutro o ósmej...

— Pani! wdzięczność moja nie ma granic... A gdzie?...

— Marszałkowska, 185.

— A ja wołałbym na rogu Dzielnej i Mokotowskiej...

— To już mi wszystko jedno. — Zresztą jutro wieczór wyjeżdżam do Berdyczowa...

— A ja do Kirk-Kilisy.

— Szczęśliwej podróży!

Trrr...

— Czy to pracownia malarska panów Koronaralskich?

— A juści — są te panowie, ino na czwartaku... A niby jakże mam powiedzieć, Kto mówi?

— Komornik.

W chwilę potem — w tak zwanem „atelier“ na czwartem piętrze toczy się rozmowa następująca):

— Władek, słyszysz, — gospodarz posyła nam komornika?

— Lecę co tchu z ostatnią poduszką do „lombiku“. Wstyd byłby, gdyby to zwierzę znalazło u nas jakie ruchomości!

— ...Dlaczego pani się nie odzywa?

— Owszem... Stacya.

— Proszę, 999—888...

— Proszę pani taki numer będzie może w XXI wieku.

Że też pani się nie wstydzi ludziom czasu zabierać!

O błogosławiona cywilizacyo!

O bajeczny wynalazku, któryś jest dobrodziejstwem ludzkości!

K.











## O opresyi żydowskiej



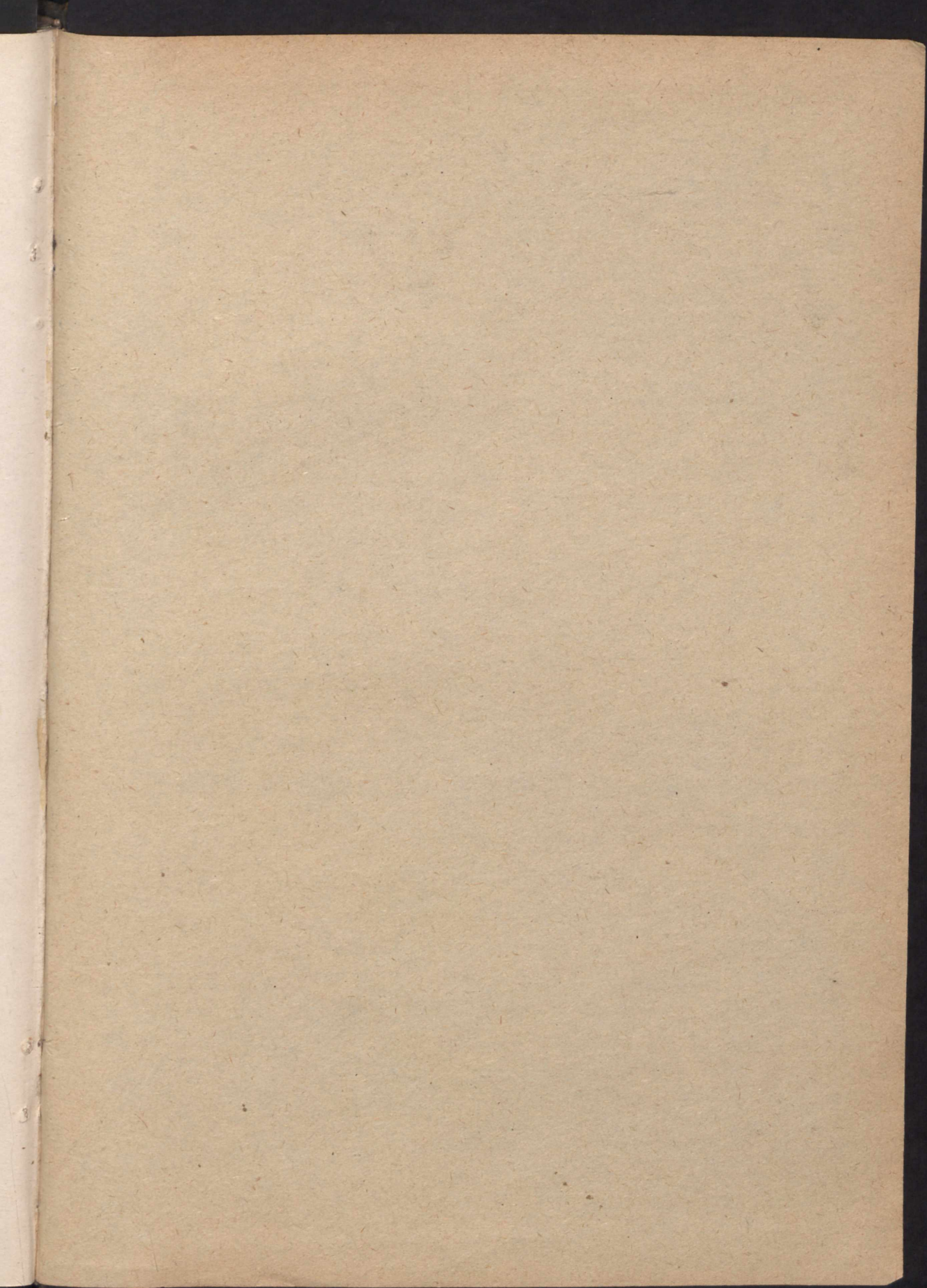
- 1). Siedział w tej Polsce, żydowin od wieka  
A niech tam siedzi, nikt mu nie zarzeka,  
Bo był żydowin w cnej Rzeczypospolitej,  
Nie — jadowity!  
I stare gratki!
- 2). Co dzień obchodził se każde podwórko  
Kupcząc zajęczą albo lisią skórką,  
Skupował mile wytarzane szatki  
I stare gratki!
- 3). Sigdział se zacie w szynku za szyn-  
[kfasem  
Kiedys tam człeku, wdepnął wolnym  
[czasem,  
Lały ci pędem Dawidki i Małki  
Z kufy — gorzałki!
- 4). Gdy jak to bywa, przyszła na cię bida  
Zaniosłeś wtedy, szparko, fant do żyda,  
Chłopu na kozuch, panu na manele  
Dał, małowiele!
- 5). Siedziałeś w swojej wiosce, kąt zapadły,  
Alłisci słyhać piesków wrzask zajadły,  
Przyjechał pelen ciekawych nowinek  
Pachciarz — Rubinek!
- 6). Rzucasz kalendarz, siadasz przy ko-  
[minku,  
Pytasz: co słyhać? powiadaj Rubinku!  
O Solferino albo o Magencie  
Słuchasz — zawzięcie!
- 7). Pomną ci dotąd, wkrąg, pod Hrubie-  
[szowem:  
W czasach, gdy powstanie Styczniowe,  
Żydek Mordulcio, Łysą głową zwany  
Był z męztwa znany!
- 8). Nie chadzał z szablą, ani też we zbroi  
Bo to żydkowi zgoła nie przystoi,  
Ale ucierpiał, skórą, wiele razy  
Wożąc — rozkazy!
- 9). Gdy wspominając mawiał: nasze wojsko!  
Te słowa brzmiały wszystkim do cna  
[swojsko  
Bo prawe serce miałci ów, pewnikami,  
Żyd — pod lejbikiem!
- 10). Inny—ć żyd teraz! Jakby nie ten prawiel  
Ten-ci nos w kabłąk, łeb żółty jaskrawie  
Ale nie nosi cyces, z wierzchu, godnie,  
Lecz chowa — w spodnie!
- 11). Jak wprzód się chleba lekkiego imając  
Od ciężkiej pracy kica gdyby zając  
Mdłego Filipa z Konopi mknąc torem  
Chce być — Mentorem!
- 12). Czym? Spytają, ani chybi, waście?  
Toć waszym! Skrzcząc: A nu! z woza  
[złaźcie!  
Koniec Sarmackiej jeździe a imprezie!  
Teraz — żyd wiezie!
- 13). Na Septentrionów wykopany stronie  
Wpada tu, krzycząc, że: finis Poloniae!  
Pazury w ciało udręczone wpija  
Niewdzięczna — żmija!
- 14). Po świecie całym imię Polskie plami  
Potrafiąc szpetnie między Paryżami,  
Wszeteczna Ryfka w Peru, Argentynie  
Że „Polka“ słynie!
- 15). Na przepojonej krwią męczeńską ziemi  
Wolen od trudu dla niej, wróg się plemi  
I nas, gęganiam uczy ladajakiem,  
Kto jest Polakiem!
- 16). Tutaj, gdzie leżą Sowińskiego kości,  
Budzi je szwargot świętokradczych gości,  
Co zwą nas czelnie, (czy ich obłęd mami)?  
Innowiercami!
- 17). Aby pohańbić nas, tej ziemi królów,  
Bośmy w koronie niesłychanych bólów,  
Z stolicy posłem, przez wraźą przyczynę  
Ślą — pijaczną!
- 18). Z żółtą na grzbiecie łątą i w kołpaku  
Kazali chadzać ci niemce, żydziaku  
A ty, powiadasz, że żargon niemcowy,  
Twój — narodowy!
- 19). Długo cierpliwe było polskie plemię  
Lecz gdy chcesz wyżyć nas z ojczyste  
[ziemie  
Wszyscy, ten szaniec broniąc, judzki  
[synku,  
Staniem — w ordynku!
- 20). Ty mores czujesz tylko wobec kijal  
Tu, w naszej ziemi gdy-ć zelżała szyja,  
Przez wdzięczność, pragniesz korzystać  
[dowoli,  
Z polskiej — niedoli!

Mir

Redaktor i wydawca: WŁADYSŁAW UMIŃSKI.

Warszawska Drukarnia Estetyczna, Wielka 49, Tel. 16-18.

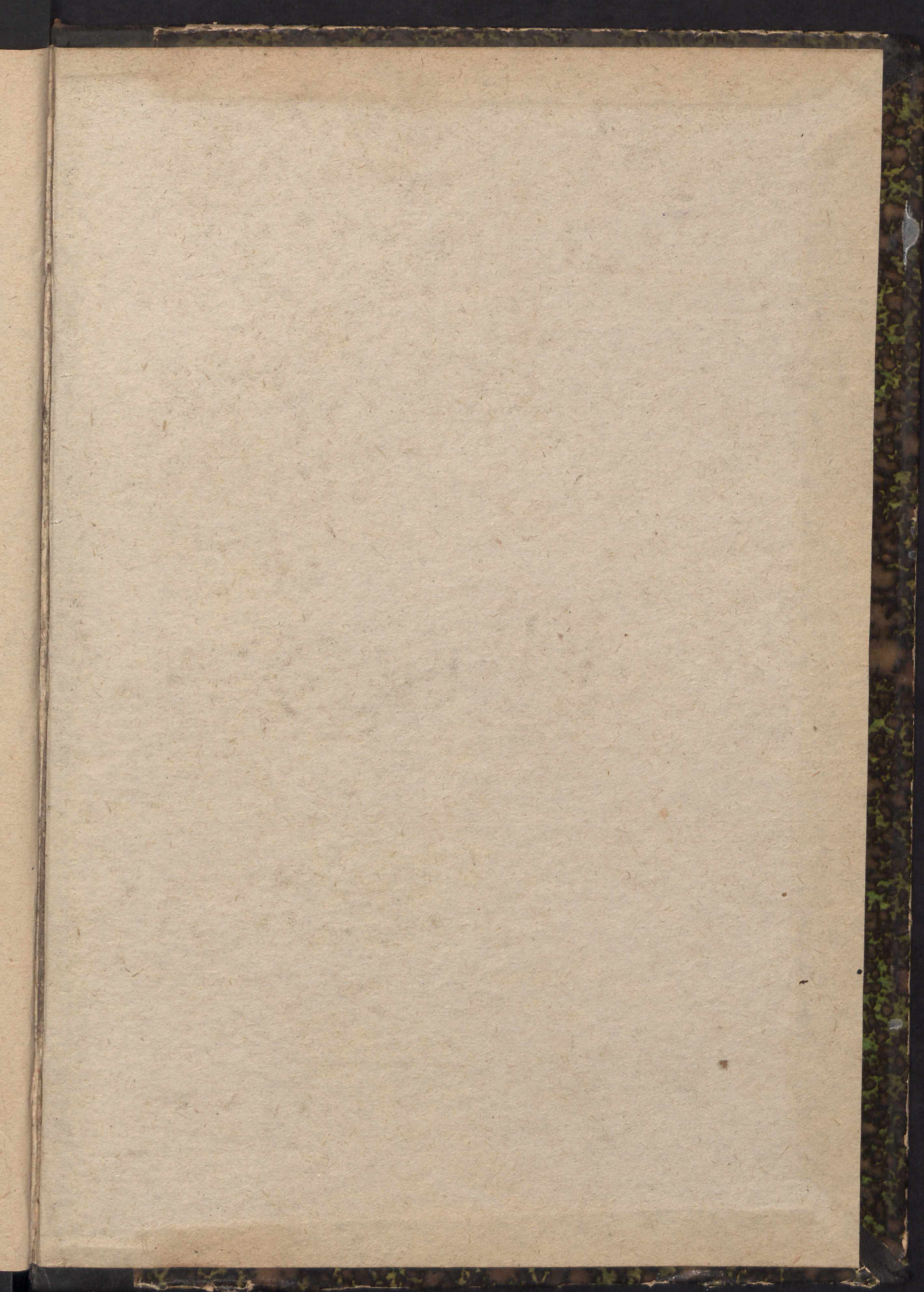






Ex libris Marianorum  
domus Bielaneisis  
№ \_\_\_\_\_







Wojewódzka Biblioteka Publiczna  
im. H. Łopacińskiego w Lublinie

5933c

1912

6-8



4000007537